

# BLUSZCZ

*Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

NR 40

TREŚĆ NUMERU: Kobiety w akcji powszechnego pokoju — *N. Jastrzębska*. Obozy harcerskie — *W. Prażmowska*. Wiersz: „Księżna Łowicka” — *Felicja Kruszevska*. Księżna Łowicka — *Adam Czartkowski*. Koszula Dejaniry (nowela) — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz.)*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Życie i śmierć Izadory Duncan — *N. J.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z prasy. Odpowiedzi redakcji. Kobieta która zarabia — *Well*. Wystawa tkanin w muzeum „Galliera” w Paryżu — *Mary*. Hodowla winogron — *Zofja Łempicka*. Torf jako środek do przechowywania owoców — *Inż. agr. J. Lentz*. Targi wschodnie — *Pani Elżbieta*. Jak prasować ubranka chłopców — *J. S.* Jesienny pokaz modeli u B. Hersego — *Well*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Kursy fotografii dla amatorów. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Modne paski — *Well*. Poduszka-kwiat. Śliniaczek ozdobiony koronką wenecką. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring* autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

## KOBIETY W AKCJI POWSZECHNEGO POKOJU

Niema w historii narodów trudniejszej i bardziej skomplikowanej kwestji, jak sprawa pokoju.

Posiada ona taką moc korzeni, wrośniętych głęboko i obejmujących całe życie narodu wewnątrz, taką liczbę rozgałęzień, tyjących dziesiątków i setek spraw zewnętrznych, tyle punktów, z których można je rozpatrywać, zahacza tak sprzeczne uczucia i interesy, że znaleźć jej rozstrzygnięcie należy do najtrudniejszych zadań ludzkości.

A posiada przytem dziesiątki oblicz — jest całą siecią powikłanych sprzeczności.

Z punktu widzenia humanitarnego każdy bezwzględnie człowiek, wyrosły już ponad poziom jaskiniowca, przyznać musi, że wojna jest okrucieństwem, nonsensem i katastrofą; z punktu widzenia interesów ekonomicznych każdy obywatel kraju, każdy członek danego społeczeństwa jej się obawia; z punktu widzenia politycznego — o ile nie jest obroną przed wybitną napaścią, lub dążeniem do wolności podbitego kraju — potępić wojnę musi dziś każdy dobry polityk.

A jednocześnie każdy polityk i dyplomata musi w dzisiejszym splocie stosunków międzynarodowych czuć siebie, swój kraj do wojny jaknajlepiej przygotowanym; musi nieustannie lawirować między okolicznościami, mogącemi tę wojnę wywołać; musi umieć — dla godności i stanowiska swego kraju — nie obawiać się jej, a wzbudzić przed nią postrach u in-

nych narodów; może w dodatku być do niej wciągnięty w każdej chwili, z racji sojuszów i traktatów z innemi narodami.

A wtedy przed polityką rządu i kraju ustępują zazwyczaj wszystkie względy ekonomiczne i wszystkie przekonania humanitarne jego obywateli.

W r. 1914 — poza jednemi Niemcami — żadne społeczeństwo wojny nie pragnęło i... wszystkie kraje ją sobie wydały.

Żadne, absolutnie żadne państwo nigdy się oficjalnie do pragnienia wojny nie przyzna, lecz wszystkie się do niej przygotowują, wydając olbrzymie sumy na armje, zużywając ludzki czas i pracę na służbę wojskową.

Brak pieniędzy na oświatę, na wprowadzenie ulepszeń i wynalazków, na cele społeczne i kulturalne, brak ich nawet na szpitale, — ale sumy idą na broń, umundurowanie, lub fabrykację gazów trujących!

A z drugiej strony, czy można zostać bezbronnym?

Czy może, np., Polska wspaniałomyślnie zmniejszyć ilość wojska, nie tworzyć silnego lotnictwa i obrony przeciwgazowej, budować szkoły i szpitale i liczyć, że... bolszewicy i niemcy pozostawią to wszystko w spokoju? Czy może tak samo rozumować Francja, Turcja, Węgry, Czechosłowacja i t. p. i t. p.?

Niełatwa to rzecz — nieprawdaz?



A jednak, pomimo, że tak trudna, szlachetne duchy ludzkie, dążące wciąż do rozwoju, myślą od wielu lat i od wielu lat pracują nad jej rozstrzygnięciem.

Borykają się z trudnościami; przychodzą czasy, że głosy ich muszą zamilknąć chwilowo; praca ich zanika i idzie na marne wobec dążeń zachłannego materializmu, polityki zaborczej, egoistycznych ambicji i furji wojennej—aby znów powstać i rozwinąć się, gdy okoliczności zaczną sprzyjać.

I na pociechę i chwałę ludzkości powiedzieć trzeba — że idea pokoju powstaje zawsze silniejsza.

Pierwszą, która podniosła silny protest, przeciw wojnie, protest, wychodzący z krajów butnego, zwycięskiego trójprzymierza, była baronowa Suttner, — ile razy ją wysmiano, nazwano egzaltowaną histeryczką, omal nie warjatka!

Ale idea jej nie upadła. Następnym jej etapem stała się instytucja pokojowa w Hadze.

Płód, może poroniony, może nieszczerzy, słaby — bo pozbawiony egzekutywy, — a jednak jest zbiorowisko, jest instytucja, która jeśli nie uchroniła od wojny, to w każdym razie uregulowała i złagodziła jej postępowanie. Konwencji haskiej zawdzięcza świat ustawy, które wiele potworności wojennych usunęły.

A po ostatniej wojnie powstała Liga Narodów — o ileż poważniejsza, silniejsza, o ileż większą posiadająca egzekutywę!

Więc sprawę pokoju można pchnąć na właściwe tory — trzeba tylko chcieć.

I trzeba znaleźć w duszach ludzkich punkt trwały a mocny, na którym można ją oprzeć.

Dwa są takie punkty.

Jeden—to uczucia humanitarne—ludzkość w stosunku człowieka do swego bliźniego i wypływające z niej poszanowanie wolności i praw do życia innych ludzi.

Ten pierwszy punkt wyczuła i podniosła Polska i stwierdziła go czynem — stawiając projekt paktu o nieagresji.

Punkt drugi—to miłość macierzyńska.

Na niej opiera się obecnie wielka akcja pokojowa kobiet amerykańskich.

Amerykanki twierdzą, że podczas, gdy historia i życie współczesne pokazuje nam całe szeregi bardzo skądinąd szlachetnych i humanitarnych mężczyzn, nie wahających się jednak ani na chwilę przed niesprawiedliwą wojną — to matki, któreby w swem sumieniu i sercu macierzyńskim zgodziła się poświęcić w takiej wojnie życie swego dziecka — nie znajdziemy na kuli ziemskiej.

I na tem opierają swoją akcję.

Narodowa partja kobiet Stanów Zjednoczonych pierwsza rzuciła hasło zjednoczenia się kobiet wszystkich krajów pod sztandarem pokoju w imię uczuć macierzyńskich.

Nie dajmy naszych dzieci wojnie—wychowujmy z nich takich ludzi, którzy rozumieją wolność i prawo każdego człowieka, takich obywateli, którzy potrafią uszanować instytucje i granice każdego narodu, którzy sprawiedliwości się poddadzą i sprawiedliwość uczynią.

Wtedy wojna stanie się zbyteczną.

Pierwszym stopniem na drodze do tego celu musi być, naturalnie, wychowanie. Istnieje już, — przy bardzo wydatnym udziale kobiet — międzynarodowy instytut wychowania, którego zadaniem jest badanie systemów wychowawczych różnych krajów, opracowywanie nowych metod kształcenia i wychowywania młodzieży w duchu powszechnego braterstwa i pokoju, oraz zaznajamianie wzajemne dzieci poszczególnych krajów, zapomocą wycieczek, korespondencji, wymiany podarków, akcji dobroczynnej, np. obecnie dla dzieci chińskich, i t. p.

Równolegle zaś z tem przygotowaniem rosnącego pokolenia, odbywać się musi akcja na terenie narodowej i międzynarodowej polityki współczesnej.

Kobiety mają do tej działalności bardzo dobre, podstawowe organizacje, zapoczątkowane przed laty, w okresie walki o równouprawnienie: Międzynarodowa Liga praw wyborczych kobiet, Międzynarodowa Rada kobiet i szereg organizacji istniejących w każdym poszczególnym kraju. Wszystkie te związki, które w większości państw Europy i Ameryki osiągnęły już cel swój pierwotny — równouprawnienie polityczne — i obecnie wyrównywiają tylko pomniejsze niedomowienia, lub niedociągnięcia ustaw państwowych i obyczajów społecznych, stać się mogą podstawą operacyjną agitacji w sprawie pokoju.

Wielką, międzynarodową centralą tej akcji jest, jako wiadomo, Liga Narodów. Otóż ta Liga uległa w dużym stopniu wpływowi starych, dyplomatycznych nałogów. Powstała z entuzjastycznego porywu wszechludzkiej miłości, tęsknoty do pokoju, z wiekopomnie sprawiedliwych idei Wilsona—daje dziś zawiele wstępu macherstwu politycznym. Najjaskrawszą ilustracją nietylko stanowiska, ale utraty wpływu i władzy Ligi w ruchu pokojowym, jest „powodzenie“ polskiego projektu o nieagresji. To właśnie zmienić należy i tego dokonać muszą kobiety. Pomimo faktycznego w większości państw równouprawnienia, kobiety nie grają równej roli politycznej, zamało ich jest w rządach państw, zamało w Lidze Narodów, gdzie zasiadają głównie w komisjach specjalnych. To też na ostatnim kongresie kobiecym w Colorado delegatka kobiet angielskich, miss Dorothy Evans, wyrzekła pamiętne słowa: „w Genewie stworzyć muszą kobiety podstawę pokoju, środowisko pracy wszystkich matek, któ-



rych dobroć i sprawiedliwość stać będzie na straży życia i szczęścia ludzkości, przed których polityką pokoju i braterstwa ustąpić musi egoizm, zazdrość, pycha i zaborczość zawodowych dyplomatów i polityków. Rządzili oni dotychczas światem i świat opływał krwią. Niechże teraz spróbuje kto inny oprzeć stosunki międzynarodowe na innych zasadach“.

Trudności tego zadania są olbrzymie, rzecz prosta, ale jedna jest prawda, którą należy wziąć pod uwagę i uczynić z niej wytyczną działalności: pragnienie pokoju żyje we wszystkich narodach. Podczas gdy rząd i politycy niemieccy marzą o odwecie i prowadzą akcję wszczepiania tej idei w społeczeństwo — w tych samych Niemczech odbywają się kongresy pokojowe, z ogromną ilością uczestników, (jak np. dwa lata temu w Innsbrucku). A nie możemy zaprzeczyć, że przy dzisiejszym ustroju parlamentarnym wola całego narodu może zaważyć na szali jego polityki.

Kobiety powinny brać mniej żywy udział w pracach stronnictw, które majoryzują je i podporządkowują swoim planom partyjnym, a skierować wszystkie wysiłki ku wychowaniu i wyrobieniu społeczeństw własnych w duchu braterstwa i pokoju i ku porozumieniu międzynarodowemu w tym samym duchu. Powinny podać sobie ręce nad głowami zawiści i ambicji politycznych.

Wielu zawodowych polityków może uśmiechnie się z politowaniem w tej chwili: z jednej strony miljardowe zbrojenia, gazy trujące, cały splot polityki zawiści i zaborów — z drugiej — akcja kobieca! Ale uświadomić sobie należy jedno: Jak zapatrywano się w całym świecie na sprawę równouprawnienia kobiet lat temu czterdzieści? Nie było szyderstw, nie było zarzutu, którego by oszczędzono pierwszym jej pionierkom.

Wytaczano przeciwko nim wszystkie argumenty naukowe, społeczne i polityczne, rzucano gromy potępienia i niewiary w ich akcję. Kto byłby uwierzył, kto byłby przypuścił, — gdy pierwsze kobiety walczyły o prawa do wiedzy, o dostęp do uniwersytetów, — że będą one tych uczelni profesorami, że będą posłankami, wysokimi funkcjonariuszkami rządu — ministrami? A dziś! I długo to trwało? — Niecałe pół wieku! W historii ludzkości — jedna chwila. A jakie było przygotowanie i środki działalności ko-

biet lat temu pięćdziesiąt, w porównaniu do dzisiejszych?

Jeżeli więc dziś kobiety równouprawnione, przygotowane i wyrobione naukowo, społecznie i politycznie, zjednoczą się w działalności — kto może twierdzić, że nie osiągną celu? Że po pół wieku pracy, znoju, wojna, jeśli nawet nie zaniknie jeszcze zupełnie, to stanie się w każdym razie rzadką katastrofą, — a nie, jak dotychczas, podstawą akcji politycznej?

Czy dla tego celu, zapewniającego życie naszym dzieciom i triumf idei braterstwa i sprawiedliwości — nie warto jest pracować?

Narodowa partja kobiet St. Zj. zwraca uwagę na świeżo wydany i rozpowszechniony w Stanach w liczbie 300 tys. egzemplarzy: „Podręcznik wykształcenia wojskowego“. Oto jeden z jego ustępów: „Części ciała, najpodatniejsze zranieniu: Ostrze bagnetu kierować należy do gardła wroga tak, aby przy niewielkim wysiłku jednego pchnięcia zadać od razu śmiertelną ranę. Tak samo odpowiednie do zadania ciosu są: twarz, piersi, dół brzucha; a w razie ataku z tyłu, niezawodnym jest cios w krzyż, który przebija nerki, powodując ranę bezwarunkowo śmiertelną“.

Dobre—prawda?! Zapewne, gdy się idzie na wojnę — trzeba umieć zabijać; ale czy nie wzdrygnie się na to serce każdej kobiety, serce, które rozumie nie tylko swój, ale i cudzy ból macierzyński?!

I czy nie zapragnie wychować młode pokolenie tak, aby te okropności uczynić niepotrzebnymi?

Czy—gdyby inaczej były wychowywane narody,— spotkałoby polski wniosek paktu o nieagresji niepowodzenie?

To też kobiety polskie, oparte o wiekowe polskie tradycje sprawiedliwości, wolności i nieagresji, — mogą i powinny najgoręcej, najintensywniej poprzeć akcję kobiet amerykańskich, najserdeczniej zjednoczyć się z niemi w ich pracy pokojowej.

Może ona być i będzie napewno ciężką i powolną, może zostać chwilowo zahamowana — ale nie upadnie.]

A po długoletnim przygotowaniu jedna chwila może zmienić oblicze świata, zmieść wojnę z jego powierzchni.

*M. Jastrzębska.*





W. PRAŻMOWSKA

## OBOZY HARCERSKIE

Szczęśliwą właściwością naszej psychiki jest umiejętność szybkiego przystosowania się do zmiany warunków. Niczemu już się nie dziwimy, mało co imponuje nam swą niezwykłością — nauczyliśmy się, bowiem, uważać wszystko ze rzeczy zwykłe. I tylko czasem, w chwilach refleksji, powie ten, czy ów:

— Coby na to powiedziały nasze babki?! (czy nie zwóciliście państwo uwagi, jak rzadko mówi się w takich razach: „nasi dziadkowie“?)

I wtedy dopiero widzimy, jak szybko zmienia się życie wkoło nas, i wyobrażamy sobie, jak zaskoczone temi zmianami byłyby nasze babki.

A otóż przyznam się, że zawsze myślę o tej „mnie prababki“, gdy widzę obóz harcerzek.

Gromadka młodych dziewcząt mieszka w lesie; posługuje się siekierą i piłą conajmniej tak umiejętnie, jak igłą i szydełkiem; buduje kuchnie prawie tak, jak wykwalifikowany zdun, a gdy po tej pracy złoży narzędzia pod dach namiotu, idzie z mapą przez pole, lub, strój lekkoatletyczny przywdziewszy, dyskiem rzuca i przez rowy skacze.

Biedne prababki! Wprawdzie za młodych lat i niejedna z nich, hajdawerki wdziawszy na koniu szabelką bronić się uczyła i spoglądali na to pobłażliwie ojcowie, ale niejedna stateczna matrona tym widokiem się gorszyła.

A dziś? dziś nie ma się kto gorszyć, bo niema na świecie statecznych matron, a te, coby z wieku swego stateczne być powinny, też nierzadko z plecakiem na plecach idą w góry lub do obozu.

Kilka tysięcy dziewcząt i chłopców rokrocznie spędza lato w obozach harcerskich. Kierownicy pracy harcerskiej zdają sobie bowiem sprawę z tego, że dwa tygodnie obozu znaczy w wychowaniu dziewczyny, czy chłopca więcej, niż rok pracy w mieście. I każdy, kto choć raz, choćby już nawet dawno, spędził wakacje w prawdziwym harcerskim obozie, przyzna, że były to jedne z najmielszych wakacyj. Ot poprostu, każdy z nas, jeśli spędza wakacje „cywilnie“, tęskni do obozu. Tęskni do mieszkania w lesie, pod dachem z płótna, lub gałęzi, do obcowania z przyrodą i do tej zupełnej samowystarczalności. Obóz daje człowiekowi poczucie pełni sił: — wszystko robię sam i umiem wszystko robić.

Bywają jednak i obozy-kolonje. Są drużyny, które nie mają dotąd własnych namiotów i muszą urządzić kolonje pod dachem. Więcej jest wtedy czasu na prace krajoznawcze, społeczne, mniej życia leśnego „indjańskiego“.



Uczestnicy obozu harcerskiego odpoczywają po ćwiczeniach na brzegu rzeki

Fot. St. Sedlaczek.

Od trzech lat przybyły takim obozom-kolonjom nowe tereny. Korpus Ochrony Pogranicza, pełniący ciężką, ofiarną służbę wzdłuż całej naszej północnej i wschodniej granicy, ofiarował gościnę na swych strażnicach harcerkom i harcerzom. Przez ubiegłe dwa lata gościły tam wyłącznie drużyny warszawskie, w tym roku akcja obozów kresowych objęła i inne chorągwie harcerskie.

Niektóre męskie drużyny obozują tam pod namiotami; żeńskie wszystkie jeszcze w budynkach. Korpus Ochrony Pogranicza daje drużynom pomoc materjalną przez zniżki na przejazd i pomoc w apro wizacji; jadą więc na te obozy drużyny najmniej za-możne, które na kupno namiotów dotąd się nie zdo-były.

Trudno o tych obozach mówić ogólnie; — każdy miał inne warunki, każdy przez kogo innego mógł być oceniony. Bądźmy szczerzy, — ocena ta też mogła wypaść różnie. Staralam się zebrać opinię, jak mogłam, i, rzecz ciekawa, naogół opinia o obozach dziewczęcych lepsza była, niż o męskich. Dziewczęta więcej poświęcały się pracy kulturalno-społecznej, która, mojem zdaniem, jest na tych obozach rzeczą naj-ważniejszą.

Zwiedzałam np. obóz jednej żeńskiej warszawskiej drużyny na Wołyniu. Pytam o stosunki z ludnością.

— Z początku bardzo złe — odpowiada na to drużynowa. — Obozujemy tu już drugi rok. Gdyśmy przybyły zeszłego roku, we wsi ciskano na nas ka-mieniami — stosunek do polaków jest tu wogóle



wrogi. Teraz nasza drużyna ma tu już samych przyjaciół.

— Jak to się stało?

— Zaczęliśmy od gier z dziećmi. Dziecko, choćby w domu było jaknajgorzej do przybyszów usposobiane, gdy zobaczy piłkę, zapomina o wszystkim i przychodzi się bawić. Gromadka ta była wkrótce tak liczna, że podzieliliśmy ją na dwie grupy — starsze i młodsze. Czasem i rodzice, wracając z pola, przystawali i przyglądali się grom.

Drugim „wabiem“ było nasze ognisko i śpiewy. Chłopcy, którzy opodal paśli konie, przychodzili do ogniska i siadali za nami, z początku daleko, potem coraz bliżej. Siedzieli tak w milczeniu kilka dni, ale gdy moje harcerki, między innymi piosenkami, próbowały wyśpiewywać tutejsze melodje, chłopcy zaczęli je poprawiać. Po paru dniach już zgodny, — to jest, będę ścisłą, — usiłujący się zharmonizować, chór harcerek-miejscowych wyciągał smętne wołyńskie melodje.

— Więc kontakt istnieje tylko z młodzieżą?

— O nie, teraz już i ze starszymi. Zaczęło się od tego, że dzieci przychodziły często na zabawy z jakimiś skaleczeniami. Opatrywałyśmy je starannie. Wkrótce potem nasza weranda stała się ambulatorjum, gdzie opatrywałyśmy zrazu dzieci, potem kobiety, a wreszcie nawet i mężczyzn. Mamy też we wsi dwa cięższe wypadki, gdzie byłyśmy wraz z lekarzem bataljonowym, a teraz chodzimy tam na opatrunki.

Urządziłyśmy również przedstawienie, połączone z zabawą dla dzieci, co miało wielkie powodzenie.

— A w jakim języku porozumiewacie się?

— Oni mówią po rusku, my — po polsku. Dzieci w grach osłuchują się z polskim językiem i przyswa-

jają sobie szybko wiele wyrażen. Nie zmuszamy ich zupełnie do mówienia po polsku, i może właśnie dlatego, uczą się tak chętnie.

— Więc, jednym słowem, dostarczanie kulturalnych rozrywek i pomoc samarytańska.

— Nietylko, bo odkąd już ludność oswoiła się trochę z nami, urządzamy codzienną dwugodzinną zabawę harcerską w „błędnego rycerza“. Dziewczeta rozchodzą się po wsi i każda musi spełnić jakąś przyjacielską usługę. Jedne pomagają w polu, inne — w ogrodzie, jeszcze inne uczą kobiety, jak się zająć dziećmi, bo higiena chat urąga najelementarniejszym wymaganiom.

— A plany na przyszły rok?

— Chcemy jechać na północ, ale znowu na „K. O. P.“ — tu już grunt przygotowany, pójdziemy, wyrażając się wzniosło, orać inne ugory.

Słuchając tego opowiadania i patrząc na pracę kilku obozów pogranicznych, nabrałam głębokiego przeświadczenia, że w pracy społecznej, podjętej tak żywo przez Korpus Ochrony Pogranicza, obozy harcerskie mogą mieć duże znaczenie. I nie będzie chyba feminizmem, — boć o to nie posądzam tych oficerów, którzy ze mną mówili, — twierdzenie, że jednak w akcji kulturalnej kresowych obozów bardziej przydadzą się dziewczeta, niż chłopcy.

Niech więc nie gorszą się „nasze prababki“ tem, że dziewczeta w mundurach urządzają jakieś ćwiczenia i są w dodatku pod opieką wojska. Bo te szare harcerki, wzorem naszych prababek, idą na wieś z dobrem słowem i z lekami, a że pozatem przynoszą dzieciom piłkę, to już jest właśnie owa nowość, a śmiem twierdzić, i wyższość dzisiejszych czasów, co już nawet was, zacne prababki, gorszyć nie powinno.



Gotowanie obiadu



FELICJA KRUSZEWSKA

## KSIEŻNA ŁOWICKA



*Joanna Grudzińska w młodości, według portretu nieznanego autora*

*Może jest tylko dumna, a może wybrana,  
naznaczona ofiarą z pośród polskich dziewcz.  
Pod krzyżem w tych jedwabiach przekłębć do ran!  
Bo przecie władca w Polsce — i przecie królewicz.*

*Serce — w ogień palący! Później będzie jesień. —  
Wgórę! Wgórę na skrzydle drapieżnego ptaka!  
Mocny jest czad białawy mistycznych uniesień  
i mocne, och, jak mocne, ramiona żołdaka.*

*Blaski. Kapele. Bale. I gwiazdy! — Orderów.  
Taniec do bólu piękny, lotny posuwicie.  
I jeszcze... Och, nie kraty — okna Belwederu.  
I biały król w ogrodzie, i szepczące liście.*

*Tryskają wonne lilje z karteek Lamartina.  
I to wszak można także nawskroś przeanielić.  
Miłość? No, tak. To miłość. I gdzie tu jest wino?  
Jak rozplątać to wszystko? Jak serce rozdzielić?*

*I wreszcie noc. Padł piorun i wszystko rozrzucił.  
I w twarz! W twarz błyskawica czerwona i złota!  
Bóg przecie raz uświęcił i nic się nie wróci...  
„Tu są pokoje księżnej“... A w myśli: hołota!*

*A potem w Wierzbnie okno małeńkie w alkierzu,  
za oknem chyba wieczne mroki listopada.  
I chleb, ostatni w Polsce, na grubym talerzu,  
Twardy, jak serce z bólu i gorzki, jak zdrada.*



ADAM CZARTKOWSKI

# KSIĘŻNA ŁOWICKA<sup>\*)</sup>

## I.

O PIĘKNEJ ZANECIE, CO CZEKAŁA NA KRÓLEWICZA

Grzymalici Grudzińscy senatorska to była w Rzeczypospolitej rodzina. I kasztelanów i wojewodów długi liczyli szereg, i mnogie dzierżyli starostwa, i znaczne w swem ręku gromadzili bogactwa. A łączyli się nietylko z najwybitniejszymi rodami, jak oni, wielkopolskimi, ale i Sapieżanki i Radziwiłłówny prowadzili do ołtarza, i po Lubomirskich brali żony.

Nic więc dziwnego, że kasztelanic poznański Zygmunt Grudziński, b. poseł na sejm 1764 r., od Króla Imci Pruskiego hrabiowskim tytułem obdarowany i do dworu, jako szambelan, powołany został. Umierając w 1804 r. w Berlinie, ów hrabia Zygmunt zostawił z pierwszej swej, młodo zmarłej, małżonki Teresy Krzyckiej, kasztelaniki krzywińskiej, dwoje już postanowionych dzieci: córkę — Józefę Ignacową Kołackowską, i syna — Antoniego Karola, pana bardzo obszernej, ale mocno przez ojca obdłużonej fortuny.

Hr. Antoni, człowiek równie ukształcony, jak od natury dość bogato obdarzony, za czasów Wielkiego Sejmu ożenił się z piękną panną Marjanną Dorpowską, herbu Leliwa, nie zaznał jednak z nią szczęścia. Płytko umysłowo, pozbawiona zasad, goniąca za złotem i użyciem, a przytem lekkomyślna i gwałtowna, dawała często mężowi powody do wyrzutów, nie więc dziwnego, że ich życie małżeńskie upływało wśród ciągłych zatargów, kłótni i burz, których złagodzić, ani ukrócić nie mogły trzy ładniutki i miłe córeczki: — Jańcia, Józia i Antosia, urodzone w rocznych odstępach między 1790, a 1793 r. Dość, że po dziesięciu latach takiego pożycia nastąpiła między małżonkami separacja, a w listopadzie 1804 r. — rozwód, któremu długi czas próżno opierał się, pełen religijnych skrupułów, hr. Antoni.

Pani Marjanna przezwyciężyła wszystkie przeszkody, serce jej bowiem posiadał pan Adam Broniec, piękny jeszcze lowelas i gurmant, „co w Polsce i zagranicą tysiące kobiet uwiódł i wzięte od nich krocie złota na rozwiązłość i zbytki strwonił i przejadł”. „W podobnych zwycięstwach mistrz wyuczony”, gdy mu się rwać poczęło, opanował wszystkie władze dość świeżej jeszcze i zamożnej separatki, do rozwodu ją namówił i do nowego związku skłonił.

Tym razem małżeństwo dobrało się jak najlepiej. Ograniczeni umysłowo, rozwiązli życiowo, z równą

energją gonili za uciechami ciała, nie krępując się ani zasadami, ani rozumem. Bale, wieczory, koncerty, teatr, karty, a nadewszystko obiady i kolacje zapełniały im w zupełności życie. Pani nie miała już nigdy wolnej chwili na zajęcie się córkami, które przy niej po rozwodzie z ich ojcem zostały. Jeszcze przed powtórniemi ślubami miała przynajmniej kogoś, kto się niemi zajmował, mianowicie Angielkę, miss Collins, osobę ze wszechmiar godną; ale ta po wyjściu p. Marjanny za p. Brońca opuściła swe pupilki i przyjęła obowiązki wychowawczyni córek ordynatowej Zamoyskiej. Cóż miała robić p. Brońcowa?

Oddała swe córeczki na francuską pensję, gdzie córki całej society warszawskiej pobierały edukację, a która słynęła ze znakomitego kierunku moralnego. I znowu szczęśliwie trafiła. Bo oto tu właśnie uczył wykształcony i mądry abbé Malherbes, wpajający w swe uczennice głębokie zasady moralne i szczerą religijność.

A gdy panienki skończyły edukację na pensji, p. Brońcowa, znowu jakimś dobrym instynktem wiedzona, postarała się o zbliżenie ich z rodziną prawdziwie patryarchalną, świecącą przykładem całej Warszawy, mianowicie z domem Feliksostwa Łubieńskich, gdzie pod kierunkiem pani domu i jej córki Pauliny mogły w dalszym ciągu rozwijać zalety swego charakteru i umysłu.

Tak więc, pomimo zupełnie niebudującego przykładu ojcyma (*espèce d'escroc qui était couvert du mépris public*) i matki (*dont conduite avait été scandaleuse*) dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, mogły trzy panny Grudzińskie wyrosnąć i wykształcić się pod dodatniemi wpływami. A że widocznie i dobre zadatki przyniosły z sobą na świat, wpływy te ugruntowały się w nich znakomicie i, gdy zjawiły się w „świecie”, wszyscy wkrótce orzekli, że panny Grudzińskie zupełnie nie są podobne do matki i stanowią prawdziwą ozdobę salonów warszawskich. Listy i wspomnienia z owych czasów zachowały ślady zachwytów nad niemi.

Najstarsza z sióstr, urodzona w 1790 r., Joanna, Żaneta, lub Żancią z francuska zwana, podobała się najbardziej. Wzrostu niskiego, kibici szczupłej, nadobnej, oczu jasno niebieskich, osłoniętych pięknymi złotemi rzęsami, a pełnych wyrazu i dowcipu, — miała ładnie zarysowany nos i usta, może zbyt wielkie, ale w przyjemny układające się uśmiech. Wiele uroku jej twarzy, o płci mniej białej i przezroczystej, dodawały

<sup>\*)</sup> Jest to autorskie streszczenie znacznie obszerniejszego życiorysu, który wkrótce ukaże się w całości w odrębnej książce.



włosy *blond cendré*, gęste i jedwabiste, zwłaszcza, gdy w obfitych puklach spadały na lica. Szczególnie zaś podbijała wszystkich małą nóżką, lekkością swego chodu i nieporównaną gracją w poruszeniach i w całym układzie, do czego się w pierwszym rzędzie przyczyniał istotny talent do tańca. Uczenica słynnego jeszcze za czasów Stanisława Augusta tancmistrza Kuczyńskiego, doszła do takiej w gawocie, szalu, tamburinie i innych tańcach perfekcji, że sam Dupont, boski Dupont! baletnik Opery paryskiej, zatrzymawszy się w Warszawie w drodze z Petersburga do Wiednia i ujrzawszy ją tańczącą na balu u p. Bignona, rezydenta francuskiego — był wprost zdumiony i zachwycony tym nadzwyczajnym talentem. Czyż można się wobec tego dziwić, że zwykli śmiertelnicy, ile razy mieli sposobność oglądać piękną Zanketkę w tańcu, jak szaleni potracali się, tłoczyli, włączili na krzesła, by przyjrzeć się, jak ta prawdziwa Muza tańca swą malutką nóżką rysuje arabeski na lśniącej posadzce?..

Niedość tego. „Wszakże nietylko w tańcu zajmowała wszystkich: rozmowa jej, dowcipna, igrająca z przedmiotami, pełna niespodziewanych zwrotów, czasem mistyczna, żartobliwa i znowu poważna — najożliwszych poruszała i serca najtwardsze kruszyła“. Wreszcie posiadała „jakąś świeżość moralną“, oraz „wy różniała się taką dystynkcją, że każdy odrazu musiał pochylić przed nią głowę z najgłębszym uszanowa-

niem“. „Łączyła do tego wielką pobożność i nieudaną skromność, które nawet cienia zalotności rzucić na nią nie pozwalały“. To też od pierwszej chwili ukazania się w towarzystwie ogólną na siebie zwróciła uwagę.

Młodzież męska, najbardziej arystokratyczna, otacza ją rojem; oczywiście, nie brak i skromniejszej, a nawet i panującej: jeden z książąt niemieckich, Ernest Gotajski, który ją pewnego roku u wód w Franzensbrunne spotkał, stał się jej wielbicielem.

Panienka jednak przebiegała i serce swe w zamknięciu trzymała. Jakies przecucia zapewne mówiły jej, że nikt z tych wielbicieli nie będzie jej mężem. W rozgwarze napoleońskiej epopei schodziły lata za latami, minęła dwudziesta, dwudziesta pierwsza, druga i trzecia wiosna jej życia, a panna Zanketa czekała... Chyba na królewicza z bajki... Wszak nieraz żartami mówiła do sióstr, że dzięki swemu zamążpójściu wzniesie się ponad nie.

A były to czasy, kiedy wszystko zdało się możliwym. Syn adwokata z Korsyki stał się Cesarzem Francuzów i trząsł całą Europą; bracia jego, siostry i szwagier na królewskich zasiedli tronach; skromny przed dwudziestu laty sierżant francuski został następcą tronu szwedzkiego; Marysia Łączyńska, niegdyś koleżanka z kompletów u Kuczyńskiego, posiadała serce Napoleona — dlaczegożby i do pięknej Zankety nie miał zejść jaki królewicz?... (c. d. n.)



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

## KOSZULA DEJANIRY

(nowela)

Za długo trwała ta jazda z Warszawy, zanadto wielka była przestrzeń, dzieląca od Lido, owego wyznaczonego miejsca, dokąd zdążało ich niecierpliwe pragnienie. Kurz ułożył się grubą warstwą na pokrowcach neserów, a młode twarze porysował czarnymi, śmiesznymi pasmami. Zaniechali już pocałunków, pachnących wodą kolońską, którą zmywali bezskutecznie sadzę z rąk, policzków i ust. Ręce okryły się znowu rękawiczkami i nie szukały się wcale. A oczy tak długo patrzyły w siebie, że źrenice stały się mętne i szare. Chwilami otulały je płowym, marmurowanym cieniem gorące powieki. Wówczas krótki sen huczał hałasem kół i trzaskaniem buforów. Lecz silniejszy pęd „luxu“ budził na mlec-

no-białe światło dnia, na obojętne przemykanie jakiegobądź błękitno-zielono-liljowego pejzażu wiosennego.

I dlatego postanowili nowożeńcy zatrzymać się w Wiedniu, a Hotel Europejski na Ringu miał w sobie zamknąć ich pierwszą noc.

Zofja stawiała sztywno nogi na czerwonym chodniku, który ścielił się zuchwałą drogą po schodach. Pogardziła uprzejmym gestem liftboya, gdyż wołała wejść pieszo na niedalekie pierwsze piętro. Głos męża, wydającego służbie jakieś rozporządzenia, piał się za nią radośnie w górę. A wszystko było tak zadziwiające, mimo oczywistości i jawności, z jaką występowali wszem wobec! Więc i ten ślub trochę za-



dyszany, choć rozciągnięty w solidnym ceremonjale. Więc błogo zarumienione oblicza krewnych i przyjaciół. Nawet jakieś imitacje rodzicielskich uścisków, któremi stryjostwo, a opiekunowie gnietli jej nowy kostjum podróżny i wytręcali z równowagi jedwabny kapelusz.

Najbardziej jednak zadziwiające było to, że Zofja tak rychło,—bo już w samych początkach narzeczeństwa, — zagubiła swoją rozważną, niemal czcigodną odrębność, przypieczętowaną chlubnie zdobytym dyplomem doktora filozofji, a chłodną i dokładnie przepatrzoną na wszystkie przyszłe lata jej żywota. Roztrzepotało się w niej i pomierzwiło, jak w nieporządnej szufladzie. Daremnie usiłowała położyć rozsypane kartki swojego życiowego skryptu. Czegoś tam zabrakło, a czegoś znowu było zawiele.

Stało się to z powodu bojowej miłości Romana. Rozstrzygał sam, nakazywał, panował. Niemal zastraszał. Zofja nie znalazła nigdy swojej chwili namysłu. Weszła w krąg jego władztwa, stała się posłuszna i uległa, a wobec swoich własnych spraw bezradna. Na jej mądrych ustach osiadł uśmiech dziewczęcego zawstydzenia i jakby doradzał surowym dotąd oczom te boczne błyski, tę niewytłumaczoną niczem grę zmrużonych rzęs. Ręce drżały i były nie mocne w dłoniach Romana.

Wśród zaborczej wichury nie miała czasu na zastanowienie się nad tem, co zaszło. Kategoryczność Romana nadała wszystkiemu onieśmielający pośpiech. I teraz, doprawdy, nic już nie wiedziała o sobie. Zmalała do rozmiarów ćwierkającego ptaszka, który pije kropelkę wody i przymyka oczy, aby mu się zdawało, że jest szczęśliwy.

Próbowała czasami poddać swoje uczucia umięttemu i metodycznemu rozważaniu. Usiłowała sprawdzić ich wartość i ważność, ich swojskość i niezbędną konieczność. Nic jednak nie mogła poradzić na uporczywą przewagę podrażnionych zmysłów, które miały bliskie argumenty pocałunków i wydierały się z haniebną pożądliwością ku bolesnym razem oczu Romana. Zofja mówiła wtedy:—kocham go!—Ale słowa te nic nie tłumaczyły. Nie pokrywały się z tem, co czuła. Zęby, ściśnięte pragnieniem, przegryzały do krwi te, wątlm oddechem wypełnione, słówka. Bezlitosne płomienie spalały je na szarą garsteczkę popiołu.

I tak, wykobiecając się zewnątrz na układne i miękkie gesty, na ton głosu głęboki i pieszczotliwie gruchający, zatajała Zofja przed natrętą ciekawością bliźnich prawie gniewną niecierpliwość swego ciała. Nie mogła się już opamiętać, nie mogła już w sobie odszukać tej łagodnej i obojętnej życzliwości, dzielonej równomiernie między wszystkich. Dnie szły w bezładzie próżniactwa, w cierpkim uczuciu wstępu do wyniosłych zajęć, które, chmurne i nasrożone, gnębiły Zofję, domagając się swojej części.

Zdawało się, że zsypała w głęboki dół i przydeptała nogami mądrość, książki, napoczęte rozprawy, wielkie plany i ambicje.

I to właśnie było tak zadziwiające, kiedy na krótki moment uderzała w Zofję błyskawica otrzeźwienia. Prędko, a bezskutecznie żądała wtedy rozumnej odpowiedzi i wytłumaczenia. Prędko i niemal z żalem żegnała odległy i już prawie zapomniany czas, kiedy pod wysokim sufitem bibliotecznych sal zastygała dostojna cisza. Bo oto już jej łokieć wgarzał się we wklęsłą dłoń Romana i kroki ich poszepały zgodnie po czerwonym hotelowym chodniku.

Brylantowa agrała spięła ognikami suknię z liljowej żorzęty, a w stopach, poddartych wysokim obcasem popielatych pantofelków, grała ochota, jak lekkie mżenie muzyczki. Roman pluskał się i stroił w łazience, mieli bowiem zejść na kolację do restauracji hotelowej. A tymczasem lustro okazywało Zofji wiele uprzejmości, chwałąc wysmukłość jej linii, małą, czarną głowę, rasowy nosek, szare oczy, a zwłaszcza umysłny uśmiezek ust. Mimo to, czas dłużył się, tłukł się niecierpliwie z kąta w kąt. Zmięta bezwładność porozrzucanych rzeczy, rozdziawione paszcze kufrów, beczelna zachłanność olbrzymich łóżek i wreszcie banalny, nierozumny desenh zielonej tapety wypychały się w te chwile czekania, drażniąc niepokojącym uczuciem przygodności.

Zofja usiadła na brzeżku niegościnnego krzesła. Zamierzała już powiedzieć sobie coś w najgłębszej tajemnicy. Już poczuła żywy odruch ciała, zuchwałę pęcznienie piersi. Wstażki opalowej mgły przewlokły się po żrenicach, a w osłepieniu przepadały zmacone obrazy rzeczy widzialnych. Lecz prawie jednocześnie zatrzepotał w sercu płochliwy lęk. Wszystko, co się już stało w sprawach jej cielesnych porywów, i to, co miało jeszcze nastąpić, oplotło ją, niby ciężką, dławiającą płachtą. Do piersi przywarły, zda się, łechtliwe, obrzydłe palce, w uszy uderzył tępy trzask. Uczuła się jakby w uścisku wrogiej siły. Jakaś złośliwa twarz podeszła pod same oczy i rozprzestrzeniła się szeroko. Wezbrał się głos, gotowy do wołania o pomoc. Lecz zamiast w niej, ozwał się głuchy jęk w którejś ze ścian pokoju.

Ta chytra igraszka zdwoiła trwogę Zofji. Zerwała się z krzesła, biegnąc do drzwi łazienki. I wtedy znowu usłyszała ten sam jęk, wciśnięty w mury.

— To nie ja! To ktoś obok! — stwierdziła.

Jęk powtórzył się raz jeszcze. Ale teraz był bliższy, bardziej przeciągły. Zofji zdawało się, że przywlokł się już do drzwi. Zawołała cicho: Roman!

— Zofjo — oh, Boże — Zofjo!

Przestrach spadł na nią, jak dziki, skrzydłami o głowę tłukący, ptak:—To Roman, Roman! — Szarpnęła drzwiami, które wpadły w głąb, zawałając sobą ciasną łazienkę, tak, że musiała się zatrzymać na progu.



Zofja, patrząc na męża, ledwie odzianego w bieliznę, a wykrzywiającego twarz w skośnie rozciągniętym grymasie cierpienia, nie mogła przez chwilę podolać niespodziewanemu widowisku.

— Prędeż, pomóż mi! Palę się! Gdy włożyłem koszulę, obsypały mnie piekące iskry.

Zmieniony, obcy głos bełkotał, chrypiał, rwał się. Oczy wybiegły na wierzch, strasząc żółklemi białkami. A ręce, szarpiąc koszulę, jakby łamały watłą, liljową linię deseni.

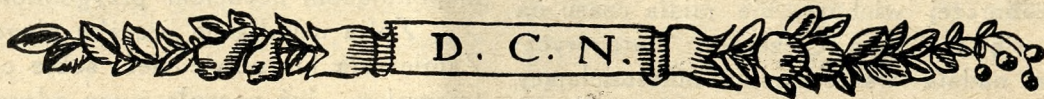
Zofja odzyskała już przytomną rozagę. Porządnie i śpiesznie ułożyły się potrzebne czynności, aż do chwili, kiedy lekarz chłodnymi rękami rozpoczął swoje obrzędy, aby wreszcie zawyrokować z ironiczną wyższością: wysypka gastryczna. Poczem dodał z porozumiewawczem mruganiem:— Zwyczajne urticaria. Do jutra będzie dobrze!

Roman uległ na chwilę sugestji i, zawstydzony popolitością swojego niedomagania, przycichł w poniżeniu. Pokornie połykał lekarstwa, unikając wzroku Zofji. Tymczasem jednak piekielny ból wkraczał znowu zwycięsko i, płynąc po ciele na płomiennych strugach gorączki, znać się na skórze białymi pęcherzykami, obrzębionymi wianuszkami strojnych, czerwonych plam. Ściany żołądka zdawał się roz-

pychać wielki wąż o szorstkich łuskach. Niby ostre zęby tysięcy zwierzątek gryzły skórę, zastrzykując palący jad. Buchnął czerwony brzask maligny i nieprzytomnem pełganiem zajął całą widoczną przestrzeń. Na szerniałych wargach, jak na dwóch strunach, zagrała przeciągła gama jęków.

Bo właśnie sypnął się zwysoka gorący piasek, a wraz potem fale wrzącej lawy spłynęły wzdłuż ciała. Poprzez nabrzmiałe złogi mięśni dobierał się ból do kości i, przewiercając ich twardy opór, miazdżył na kruszynie. Wtedy serce, szukając ratunku, usiłowało uciec z zamknięcia i z rozpaczliwą bezlitością rwało więzy, łączące je z ciałem. Łóżko rozgrzało się, jak blacha, a sprzymierzywszy się z płonącym ogniem ciała, stało się najzaciętszym wrogiem. Tylko ręce Zofji przebiegały chłodnym wiatrem, darząc chorego przytomnymi chwilami ocknięć.

Jeszcze tejsamej nocy dwukrotne wizyty lekarza obaliły pierwotną, lekkomyślną diagnozę. W świetle lampy dojrzała Zofja troskę na świecącym czole eskulapa. Bezsilne gesty jego rąk, po wielokroć zmywanych ze staranną akuracnością, dopowiadały to, czego usta nie umiały dość uczenie określić. Nawet konsylium triumwirów nad ranem nie zdobyło się, mimo płynnej szermierki łacińskich zwrotów, na dostateczną kwalifikację choroby.



W. MIŁASZEWSKA

13

## KACZĘTA

(powieść)

Swoje smutne, zaczerwienione oczy podniosła na mnie z zadziwieniem:

— Jakże ja ją upilnować mogłam? Rano sama do biura, popołudniu sama z biura. Ledwie obiad przełknęła, już jej w domu nie było znowu. A to z wizytą do koleżanki, a to do kina, a do teatru; nawet jej mówić nie miałam serca, żeby w domu posiedziała. Jakże? napracowała się, nabębniła na tej klekoczącej maszynie — to potem na moje żelazko patrzeć miała, jak prasuję? Młody tak nie wytrzymał! A już Janinka, to specjalnie lubiła zabawę, ładną sukienkę, dobry obiad... Chodziłyśmy dawniej razem w niedzielę do kościoła, to moja Janinka później do mnie w domu: — Pamięta mama, jaki ta pani, co we drzwiach stała, miała pęk piór na kapeluszu? — Wszystko zauważyła, zapamiętała sobie: suknię, buciki... Kie-

dyś jej kołnierz jakiś skunksowy chyba przez tydzień spokoju nie dawał.

— Gdybym to ja, mam, taki kołnierz miał! Mnieby w nim było lepiej do twarzy, niż tamtej pani, bo ja mam jasne włosy, to ładnie odbija od futra...

Czasem coś jej się zrobiło, że przesiedziała w domu całe popołudnie. Ja się krzątałam po pokoju przy swojej robocie, a ona siedzi na niskim stołeczku, rękami kolana obejmie i tak, kołysząc się na boki, głośno rozmyśla:

— Żeby była bogata, nosiłabym zawsze jedwabne suknie, a pantofle z zamszu... Muszę wyjść za jakiego bankiera... On mię będzie strasznie kochał i brylanty znosił... Miałabym cały naszyjnik z brylantów i pereł... Mam, co mamaby wołała — brylanty, czy pereł?



— Nie zawracałabyś sobie i mnie głowy po próżnicy, Janinko...

To ona zaraz zmarszczyła brwi, twarz jej się skurczyła jakimś grymasem...

— Pewnie... — powiada — pewnie!

Opowiadała mi potem pani Łuczakowa, jak to było z tym jegomościem, który Janinkę zbałamucił.

— Już od jakiegoś czasu Janinka wpadała do domu, jak po ogień. Czasem wracała późno, ale zawsze jeszcze przed zamknięciem bramy. Aż tu kiedyś czekam... Czekam... Dwunasta bije... Co ja w tej godzinie przeżyłam!.. Chrystusa na krzyżu łotry przybili, ale niejedną matkę ukrzyżują własne dzieci... Pani Bóg dziećmi nie obdarzył, to pani wiedzieć nie może, ile matka nieraz przeżyć musi, naciерpieć się... Nie położyłam się spać, nie rozebrałam się, tylko czekałam. Aż tu było już dobrze koło pierwszej w nocy, ktoś do bramy dzwoni. Odrazu mię tknęło, że to Janinka... Mój Jezul jak weszła wtedy, to nie wiedziałam, co mówić mam do niej... Rozebrała się z palta i przeszła, zataczając się, przez pokój...

— Przepraszam — powiada do mnie — że mama czekała... Zasiadziałam się w towarzystwie... Ani spostrzegłam, że tak późno...

Za każdym słowem wiało od niej alkoholem... winem, wódką, czy ja wiem, jakim tam trunkiem?

Wtedy się pierwszy raz zebrałam na odwagę i krzyknęłam na nią:

— Gdzieś była?

A Janinka patrzy na mnie błyszczącymi oczami i spokojnie mówi:

— Na zebraniu koleżeńskim byłam, cóż mamie znowu?

O, nic mi nie było, nic! Tylko już wtedy oczy mi się otworzyły, że ona tak gładko kłamać potrafi.

8 września.

Nie mogłam dokończyć, co wtedy pani Łuczakowa naopowiadała. Nafta mi się w lampie wypaliła, a w domu nie było już ani kropli. Nawet może i dobrze się stało, bo ja teraz strasznie po nocach siedzę nad tym dziennikiem, a potem chodzę roztargniona. W tym tygodniu skończą elektryczność w całym mieszkaniu zakładać, nie będę miała kramu z naftą.

Tak się już przyzwyczaiłam do tej pisaniny, że jak parę dni minie, to mi zupełnie nieswojo. Ot, przywykłam, że jak się wszyscy spać położą, to ja sobie gadu-dadu sama ze sobą.

Czasem nie rozumiem, po co ja to wszystko zapisuję. Naprzykład o tej Janince Łuczak. Jest taka — niech sobie będzie! Zadaje się z Tomkiem... A niech tam! Mnie nic do tego. Już mi nieraz Tomek, Staś, Adelcia, ba, nawet Marek, dali do zrozumienia, że mają własny rozum i wedle swojej woli sobą rządzą...

Coraz mniej mam śmiałości nawet uwagi im robić. Zaraz się które obrazi, oburknie...

Jak byli mali, ho ho! Nieraz do kąta potrafiłam postawić, a Tomek nawet dostawał klapsy, aż miło, bo zawsze w kredensie łasował.

Wieczorem, jak dzieci marudziły, zaganiałam do łóżka, a oni, zwłaszcza Tomek i Adelcia, naprasza-li się:

— Ciociul jeszcze minutkę! tylko do kropki do-czytam; moja ciociu, naprawdę, tylko do kropki! Do tej kropki bywało nieraz bardzo daleko, czasem i kilka stron, więc musiałam lampę zdmuchiwać, a wtedy wołali jedno przez drugie:

— O, jaka ciocia niedobra! o, ciocia jest niego-dziwa!

Ale koniec końcem szli spać, wyspali się, aż mi-ło, i byli zdrowi i weseli.

Teraz Adelcia wieczorami w łóżku często czyta, a jak jej wspomnę, że już późno, powiada:

— Niech się ciocia do ściany obróci.

I przysłania lampę gazetą.

Albo coś napomyka, że już tego niedługo, bo wkrótce będzie miała osobny pokój, to ani ona niko-mu, ani jej nikt nie przeszkodzi...

Tak mi się te kochane dzieciaki z rąk wymknę-ły; sama nie wiem, kiedy...

Dziesięć dni nie pisałam, choć czasu znalazła-bym trochę. A to wszystko przez tego Stasia. Za-wstydził mię i tyle. Siedziałam właśnie nad tym dzienniczkiem, wtem otwierają się drzwi od pokoju chłopców. Stasia zęb zabolął, poszedł do łazienki po jodynę. Bardzo się zdziwił, jak mnie siedzącą w jadalni zobaczył, ale nic. Dopiero nazajutrz przy śniadaniu powiada do Adelci:

— Nie wiesz, co ciocia Juścia wieczorami pisze, że tak po nocy wysiaduje?

A Adelcia na to z chytrą miną:

— Pss! Nie wiesz? Ciocia Juścia powieść pisze.

I śmieje się. Nieznośna ta Adelcia, we wszystko wglądnie. Teraz już dzienniczek na cztery spusty zawsze zamykam; gotowa kiedy podpatrzyć, a nie daj Boże, coś przeczytać — dopiero byłby śmiech i naigrawania!

A ja naprawdę powieść chyba piszę. O tych moich dzieciakach i o sobie. Tacy ludzie, co książki piszą, pewnieby to zrobili lepiej i mądrzej — ale prze-cież to, co ja piszę, to dla samej siebie, a dla mnie wystarcza. Jak ten kajet czasem przerzucam, kartka po kartce, to mi wszystko w oczach staje, zupełnie, jak gdybym drugi raz przeżyła szmat swego życia.

Czasem ciekawość mię zbiera: długo tego je-szcze? Może do końca wszystkie kartki zapiszę, a mo-że to, com dziś zapisała, jest ostatnie... Bo nie wiesz dnia, ani godziny.

Ludzie przez to najczęściej grzeszą, że za mało pamiętają o śmierci. Pewnieby złodziej nie ukradł, gdyby mu przez myśl przemknęło, że jutro będzie zamknięty w więzieniu, albo że go tramwaj przejedzie...



Tak to jest.

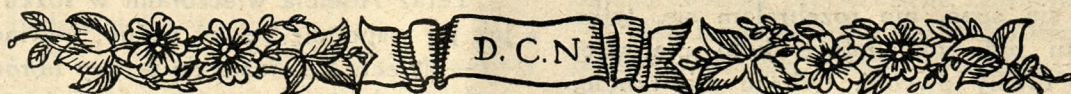
Muszę jednak dokończyć tego opowiadania o Łuczakowej, bo co, jak co, ale cała ta historia jest jak z powieści.

Słucham wszystkiego, ot, zwyczajnie, jak się słucha o każdej ludzkiej biedzie... Ani mi wówczas przez myśl nie przemknęło, że Janinka, to ta sama panna, którą z Tomkiem pod rękę wtedy przed bramą widziałam, a i potem na spacerze kilka razy.

Ot, wszystko to był traf. Wtedy, jak Adelcia z Markiem do doktora przyjechała, poszłam zaraz po południu z Adelciną sukienką do Łuczakowej. Zastałam ją z żelazkiem — ją zresztą niełatwo inaczej zastać. Zamęcza się pracą, a to wszystko dlatego, że grosza od córki nie przyjmie.

— Ja tych jej pieniędzy nie chcę — powiedziała kiedyś do mnie — choć wiem, że mi Janinka z serca ofiaruje... Niedawno zobaczyła, że mam dziurawe trzewiki, a tu jesień za pasem, więc w prosby do mnie...

Bo ona chociaż mieszka teraz osobno, nieraz do mnie zabiegnie... Niektórych to nawet dziwi, że nie zerwałam z nią, ale czy ja mogę? Córka przecież, jedynaczka, a do tego wiem, że dobre ma serce... Ot, poprostu, nieszczęście i już... A może i moja wina, że jej wychować w bojaźni Bożej nie potrafiła... Janinki nie winię, ale tego draba, co jej w głowie zawrócił, tobym na miejscu utrupiła. Przez niego Janinka na poniewierkę zesła, przez to, że zamiast się z nią uczciwie ożenić, porzucił ją...



## ŻYCIE I ŚMIERĆ IZADORY DUNCAN

Dziwnie tragiczny bywa los niektórych istot w ich ziemskiej wędrówce.

I bardzo często taka tragiczna dola przypada w udziale duszom o wysokim polocie i wielkich zdolnościach umysłowych, lub artystycznych.

Kłóca się często te biedne dusze z życiem, nie umiając usłać sobie w niem spokojnego siedliska, rozbijają się o jego przeszkody, jak ptaki o pręty klatki. Otoczone uwielbieniem, obsypane kwiatami hołdów, pozornie szczęśliwe i wielkie—naprawdę—okaleczone i chore.

Jedną z takich istot była słynna „bosa tancerka”. Izadora Duncan.

Otoczała ją wszechświatowa sława. Stała się reformatorką tańca, uczyniła z niego wielką sztukę — taką, jaką był obrzęd tańca w Grecji starożytnej. Miała majątek, wielbicieli i hołdy—a obok tego szło za nią przez życie fatum, które nie oszczędziło jej żadnego bólu, żadnego nieszczęścia, aż wkońcu zabiło ją w tragicznie groteskowy sposób.

Przed kilku dniami Izadora Duncan, bawiąc w Nicei, wyjechała na spacer samochodem. W chwili, gdy wsiadała, długi, osyty mocną jedwabną frendzlą szal wenecki, który miała zarzucony na ramiona, wkręcił się jednym końcem w koło auta. Szofer, nie zauważywszy tego, ruszył całym pędem. Artystka nie miała czasu wydać głosu, uczynić żadnego ruchu, gdy szal zacisnął się wkoło jej szyi, udusił ją i wy-

ciągnął z samochodu, wlokąc kilkanaście metrów za pojazdem.

Gdy nareszcie ktoś zauważył, co się dzieje, i gdy zatrzymano szofera, podniesiono Duncan już martwą, ze złamanym kręgosłupem i straszliwie oszpeconą twarzą.

I to wszystko stało się w mieście, na Promenade des Anglais, jednej z najruchliwszych alei spacerowych Jasnego Brzegu!

Tak samo dziwaczną, kontrastową tragedją było całe życie tej kobiety.

Urodzona w r. 1878 w Ameryce, przybyła Izadora Duncan do Europy, mając lat 22, i zaczęła występować na estradach wszystkich stolic europejskich z produkcjami swej nowej sztuki tanecznej. Nie kończyła żadnej szkoły, i nikt jej tańczyć nie uczył. Patrząc na rzeźby klasyczne, na amfory starogreckie i etruskie, na grobowce i frontony świątyń, wysnuła z nich koncepcję tańców obrzędowych bachantek i westalek, przetworzyła je swem artystycznym wycuciem w żywą plastykę i rytmikę: była to zarazem rzeźba, ruch i melodia.

Występy Izadory Duncan spowodowały rewolucję w sztuce choreograficznej. Zaczęto patrzeć na taniec nie tylko z punktu widzenia kunsztownego, bezmyślnego baletu teatralnego, lub zamaszystych wówczas tańców salonowych.

Nie szczędzono, naturalnie, krytyki, a nawet szyderstw „bosonogiej” tancerce, ale szybko pokryła je





Isadora Duncan.

sława Izadory. Artystka założyła szkołę tańca, początkowo w Berlinie, wkrótce jednak przeniosła się do Paryża, i odtąd Francja stała się jej drugą ojczyzną. Mieszkała tam stale, wyjeżdżając tylko na występy. Przeżyła tam najpiękniejsze i najtragiczniejsze chwile życia.

Najstraszniejszą była śmierć dzieci.

Troje maleństw: dwu, cztero i sześćioletnie, dwie dziewczynki i chłopczyk, wyjechali samochodem (także!) z matką i boną na spacer. Na jednym z wybrzeży Izadora zatrzymała auto i wysiadła, chcąc załatwić jakiś sprawunek — dzieci miały jechać dalej same. Gdy zatrasnęła drzwiczki, synek jej, chcąc jeszcze raz pocałować matkę, przyłożył buzię do szyby. Izadora odpowiedziała dziecku takim samym pocałunkiem i nagle wzdrygnęła się: — wydało się jej, — jak opowiadała później znajomym, — że jakiś śmiertelny chłód przeniknął ją dreszczem strasznego przeczucia, gdy tak przez lodowatą szybę ucałowała usteczka dziecka. Gdybyż była zrozumiała to ostrzeżenie! wydało się jej ono jednak dziecinna obawa i dała znak szoferowi, by jechał dalej. W kilka minut potem nieostrożny szofer, zatrzymawszy na chwilę auto, od-

szedł od niego, nie zamykając należycie motoru: samochód ruszył i, przejechawszy bez kierowcy kilkanaście metrów, wpadł do Sekwany. Nieszczęśliwa artystka straciła od razu wszystkie dzieci.

Chorowała potem przez kilka miesięcy; obawiano się o jej umysł i życie; gdy zaś przyszła nieco do siebie, wywołała od razu rozdźwięk między sobą, a społeczeństwem francuskim, wzbudzając niesłychane oburzenie tańcem, w którym odtwarzała postać zrozpaczonej Niobe.

Zarzucono jej pozę, teatralne dramatyzowanie swego bólu, frymarczenie żalobą po dzieciach — straszne rzeczy! I nikomu nie przyszło na myśl, że dla Izadory Duncan taniec był sztuką, w której każdemu artyście wolno odtworzyć swój ból. Że tańce starożytne, które ona intuicją swą wyczuła i wywołała z przeszłości, towarzyszyły obrzędom religijnym i pogrzebowym. Ci, którzy bez uprzedzeń patrzyli wówczas na jej występy, widzieli, jak straszną była różnica między dawną Izadorą, a tą, która odtwarzała Niobe. „Izadora Duncan robi przez cały dzień wrażenie istoty zmartwiałej“ pisał wówczas jeden z krytyków, „nie odzywa się do nikogo, patrzy tępo i bezmyślnie w przestrzeń. Dopiero na estradzie ożywia się; taniec jej wzruszyłby najtwardsze serce: każdy jej ruch jest jak jęk; skamieniała Niobe wydaje się sztywną i martwą wobec tej umierającej z bólu istoty“. Ale paryżanie sądzą inaczej: — wolno muzykowi grać elegję, poecie pisać treny, — na Duncan rzucono wówczas gromy potępienia — musiała wyjechać z Paryża.

W czasie wojny artystka znalazła się w Atenach, gdzie rzuciła się gorączkowo w wir agitacji na rzecz państw Ententy: w klasycznym stroju greckim tańczyła na placach publicznych, wywołując wspomnienia dawnych bohaterów hellenckich i zapalał do walki.

W pierwszych latach po wojnie Izadora zaślubiła poetę rosyjskiego Jesienina. Dochodząca już czterdziestki kobieta zapragnęła nowego życia i szczęścia w miłości. Naturalnie, nastąpił zawód — mąż jej był człowiekiem znacznie młodszym, przytem dziwakiem i neurastenikiem. Wyjechali oboje do Rosji, gdzie biedna artystka, nie mająca pojęcia o istocie młodego wówczas bolszewizmu, wyobrażała sobie, że znajdzie jakiś kraj odrodzonej wolności, wiosnę ludu. Znalazła rząd sowieński, który zabronił jej występować, ponieważ, tańcząc, wznosiła oczy do nieba, zapominając, że bolszewicy nie uznają istnienia w nim Boga. W niecałe dwa lata po ślubie Jesienin zastrzelił się, a Izadora powróciła do Francji. W okolicach Paryża posiadała ona majątek ziemski z pięknym zamkiem, który przez długie lata wypełniała arcydziełami sztuki; w domu jej zbierali się zawsze artyści i pisarze, elita życia umysłowego Francji, i w towarzystwie tych przyjaciół artystka spędziła najmiłsze chwile. Niestety, zarabiając olbrzymie sumy, Duncan nie umiała nigdy rządzić swymi funduszami. Na wio-

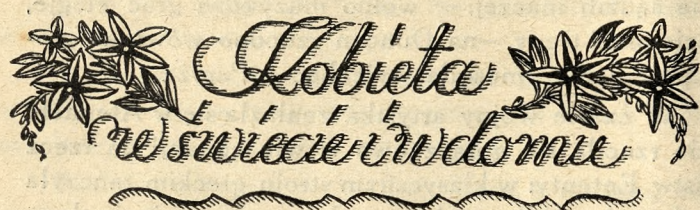


snę r. b. znalazła się u progu zupełnej ruiny:— ostatnia jej własność—ów zamek — wystawiony został na licytację. Jeden z najwybitniejszych malarzy francuskich zawiązał wówczas komitet „ratunkowy”; zebrano b. szybko potrzebną sumę, którą Duncan przyjęła pod warunkiem, że posiadłość jej, wraz z wszystkimi zbiorami, przechodzi na własność rządu francuskiego, a ona będzie tylko dożywotniczką. Przyjaciele jej żartowali wówczas, że nareszcie „zapewniono jej przyszłość i coś, czego stracić nie będzie mogła”. Niedługo jednak korzystała z tego dożywocia.

Zasługi Izadory Duncan na polu sztuki są niezapomniane. Jej taniec klasyczny stał się w pedagogice podstawą wszystkich dzisiejszych tańców rytmicznych, stanowiących część artystycznego wychowania młodego pokolenia. W zakresie czystej sztuki tańca znalazła setki adeptek, które, przejmując jej plastykę i rytmikę zewnętrzną — stały się jej naśladowczyniami. Ale wyraz wewnętrzny, najgłębsza ekspresja, ożywiająca duchem treść i formę, pozostała własnością artystki i zesła z nią do grobu.

Historja Izadory Duncan—to wymowna ilustracja istoty tragedji—walki uczucia ludzkiego z przeciwnościami, które stawia życie na drodze do szczęścia.

N. J.



## KOBIETA, KTÓRA PÓŁ ŻYCIA SPĘDZIŁA JAKO MĘŻCZYZNA

Blisko pół wieku temu z miasteczka Durham w Anglii zniknęła 20-letnia Mary Cumingham. Przypuszczano, że młoda dziewczyna popełniła samobójstwo.

W tym samym czasie wyładował w Kanadzie emigrant Harry Langley, który przyłączył się do wyprawy w głąb lądu przeciw Indianom i wkrótce stał się jednym z najdzielniejszych myśliwych i pionierów. W walkach z Indianami Langley odznaczał się odwagą, do szaleństwa, odwagą, a w czasie powstania szczerpów indyjskich, pod wodzą słynnego metysa Reida w 1885 r., stanął Harry na czele oddziału wojsk rządowych i ujął przywódcę buntu.

Harry Langley okazywał się zawsze tem, co Amerykanie nazywają „stuprocentowym mężczyzną”. Wyśmiewano się z niego jedynie, że stroni od kobiet, przypisując ten fakt jakimś zawodom miłosnym.

Ostatnio Langley zamieszkiwał w Vancouver, jako zamożny kapitalista. Przed paru tygodniami został ranny w jakimś wypadku ulicznym, i, po przeniesieniu do lecznicy, skonał. Stwierdzono, że... Harry Langley jest kobietą. Sam zaś oznajmił, że nazywa się Mary Cumingham, która zaginęła w Anglii przed laty.

„Moje oszustwem nie pokrzywdziłam chyba nikogo—oświadczyła miss Cumingham — „nie byłam w stanie prowadzić spokojnego życia, wówczas zwłaszcza tak dla kobiet ograniczonego”.

Co robi Miss Cumingham-Langley obecnie, jest zagadką. Do Anglii nie chce powracać. Życie w Vancouver uważa za niemożliwe. Prawdopodobnie wybierze sobie nowe jakieś siedlisko, gdzie nikt jej nie zna: oświadcza jednak, że nie chce już przebiegać się dalej za mężczyznę, choć czuje, że trudno jej będzie przyzwyczaić się do nowego sposobu bycia w roli kobiety.

N. J.

## MISTRZYNI GRY BILARDOWEJ

Jak dotychczas, rzadko kiedy wspominało się o sukcesach kobiecych na polu, a raczej na... stole bilardowym. A przecież bilard nie jest wcale grą gwałtowną, wymagającą dużego wysiłku mięśni, przeciwnie, jest to gra delikatna i precyzyjna.

To też z przyjemnością notujemy triumf kobiety, zwyciężającej najbardziej renomowanych graczy na konkursie bilardowym, który rozegrany został niedawno w hrabstwie Sussex w Anglii.

Gra w bilard pierwotnie była dostępną tylko dla sfer zamożnych, uprawiano ją na dworach królewskich. Do Francji wprowadzono ją podczas panowania Ludwika XIV-go, gdyż lekarze zalecili ten sport królowi dla „ruchu i ułatwienia trawienia”.

Gra ta przyczyniła się do zrobienia kariery niejakiego Chamillarda, który, dzięki bilardowi, stał się ministrem wojny i finansów przy wyżej wspomnianym Ludwiku XIV-ym. Ów Chamillard, składając zupełną miernotę pod każdym względem, jako zręczny bilardzista, był wzywany często do Wersalu, gdzie rozgrywał z królem partyjkę na zielonym suknie, starając się, jako wytrawny dworzanin, przegrywać od czasu do czasu.

Powyższe dane w owych czasach, (a może i dziś jeszcze) wystarczały w zupełności do zrobienia kariery. O Chamillardzie wspomina Saint-Simon, uważając go za człowieka zupełnie niezdolnego, umiejącego tylko celować na polu bilardowym. A oto epigramat, ułożony na śmierć Chamillarda:

Zmarło ci się, Chamillardzie,  
coś królewskim był partnerem,  
bohaterem na bilardzie,  
a zaś w ministerstwie — zerem.

R. C. H.

## ŻONY LOTNIKÓW

Niedawno pisma doniosły, że żona awiatora Schlee, który obecnie dokonywa lotu okrężnego dookoła świata, telegrafowała do męża do Tokyo, błagając go, aby zaniechał dalszej podróży nad Pacyfikiem.

Bodaj że w tym samym dniu pani Lewin depeszowała do swojego męża do Londynu, usiłując go również odwieść od powrotu do Ameryki drogą powietrzną.

Ciężki to los być żoną człowieka, którego zawód naraża ustawicznie na niebezpieczeństwo utraty życia.

Żona lotnika! ale czy podobny lęk o życie ukochanego człowieka nie jest udziałem żony górnika, marynarza, uczonego, dokonywującego nowych eksperymentów i badań laboratoryjnych? Każdy z tych ludzi jest, jak żołnierz na wojnie, i bez względu na własne niebezpieczeństwo musi wytrwać na swoim stanowisku. Żony ich powinny mieć stalowe nerwy i nie przeszkadzać im w pracy. Szczególnie zaś towarzyszkom ludzi, których zadaniem jest zdobywanie wiedzy i torowanie drogi do zdobywania postępu dla ludzkości, nie wolno jest odwozić mężów od spełniania obowiązków swojego zawodu.

Istnieją tylko dwa sposoby rozwiązania owego problemu: albo lotnicy, jak zresztą górnicy, rybacy na morzu, marynarze, uczeni i t. p. — nie powinni się wcale żenić, albo żony ich muszą uzbroić się w męstwo i przez małoduszne okazywanie lęku nie osłabiać hartu ducha mężów, spełniających twardy obowiązek dobrowolnie obranej kariery. Szczególnie niechaj nie czynią tego publicznie.

R. C. H.

## WIZYTA AMERYKAŃSKIEJ POMOCNICZEJ LEGJI KOBIECEJ W PARYŻU

Dnia 19-go września r. b. w Paryżu rozpoczął się Kongres Legionu Amerykańskiego, który podczas Wielkiej Wojny walczył na froncie francuskim. Na uroczystość tę przyjechało 30 tysięcy legionistów i 6 tysięcy legionistek. Paryż wystąpił wspaniale na cześć drogiej gości. Całe miasto zostało udekorowane barwami amerykańskimi, wszystkie auta prywatne i taksówki przystrojono w gwiazdziste chorągiewki. W specjalnie wybudowanych barakach urządzono olbrzymie i wygodne home dla uczestników i uczestniczek Kongresu. Bankietom, mowom, owacjom nie było końca.

Dla uczczenia kobiecej Legji Pomocniczej (American Auxiliary Legion), został wydany wspaniały bankiet, na którym prezydowali minister Louis Marin, Mrs Boyd, generalna sekretarka kobiecej sekcji Legionów, Mrs Connet, przewodnicząca paryskiego klubu pań amerykańskich i Mrs Kipling, prezeska Legji Pomocniczej.



Na krótko przed rozpoczęciem się tygodnia Kongresu, niektóre kobiece pisma francuskie ogłosiły artykuł pani Kipling, wyjaśniający znaczenie odwiedzin Francji przez Legion Amerykański. Artykuł ten w streszczeniu podajemy poniżej.

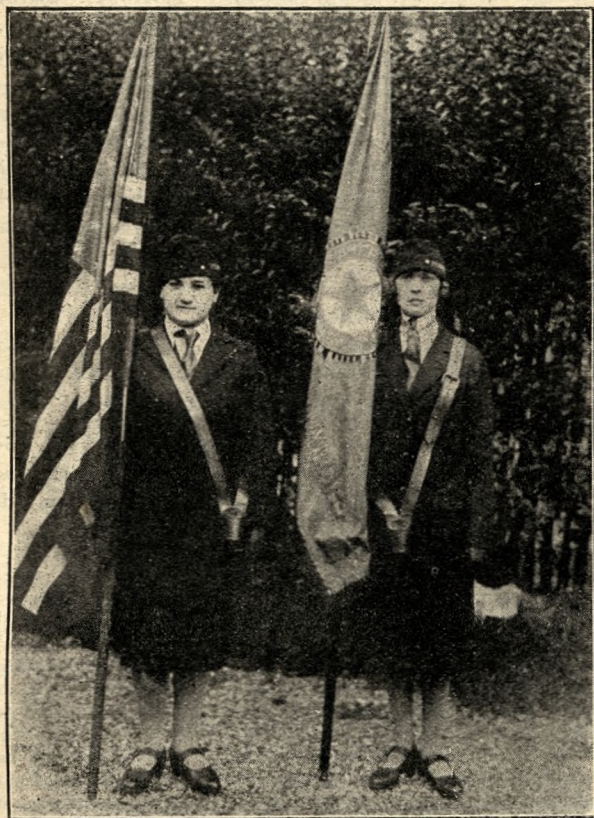
Paryż odwiedzą niebawem pomocnicze sekcje amerykańskiego Legionu, złożone z żon, matek, córek i siostr legionistów. Kobiety te udają się na zbożną pielgrzymkę, aby móc uklęknąć na mogiłach swych mężów, synów i braci, których popioły spoczywają w ziemi francuskiej. Przyjeżdżają one z sercem wzruszonym i wdzięcznym, aby uściśkać swoje siostry francuskie, które czasu zapasów Wielkiej Wojny przyjmowały, kochały i pielęgnowały ich drogie chłopców, przybyłych do oddalonych okopów. Celem ich odwiedzin jest wreszcie chęć bliższego poznania gorących serc siostrzanych, umiających cierpieć z godnością i poświęcać się z najwyższym wyrzeczeniem. Rezultatem tego wzajemnego poznania się będzie jeszcze bliższe zadziergnięcie węzłów serdecznej przyjaźni między kobietami dwóch bratnich narodów.

Kobiece Legja Pomocnicza została utworzona w r. 1920-ym. Dziś liczy ona zgorą 270 tysięcy członkiń, których dążeniem jest śpieszenie z pomocą byłym uczestnikom wojny i rodzinom ich. Stowarzyszenie nasze zebrało 250 tysięcy dolarów na organizację specjalnych zakładów dla sierot po poległych i dla inwalidów.

Paryskie członkinie Legji Pomocniczej — są to przeważnie francuzki, zameżne za amerykańcami; wychowują one dzieci swoje w miłości dla pokoju i sprawiedliwości, która jest ideałem obu krajów. Ich siostry amerykańskie czują się szczęśliwe, że nadarza im się sposobność poznać je bliżej i bardziej jeszcze pokochać.

Paryska sekcja Legji ma przed sobą wielkie i różnorodne obowiązki do spełnienia. Zadaniem jej jest zbliżenie i serdeczny stosunek Ameryki i Francji; ułatwienie emigracji rodzinom amerykańsko-francuskim, którym dla jakiegokolwiek względów ciężko jest utrzymać się we Francji; niesienie pomocy żonom i dzieciom byłych uczestników wojny pod względem materialnym i moralnym, wreszcie zakładanie w Paryżu szkół franko-amerykańskich, w którychby dzieci na równi z językiem francuskim i nauką o Francji, dowiadywały się o kulturze i uczyły się języka drugiej swojej ojczyzny — Ameryki.

Wszystkie członkinie Legji Pomocniczej wezmą udział w wielkiej defiladzie Legionu amerykańskiego, ubrane w specjalne mundury, których wizerunek podajemy poniżej. R. C. H.



Członkinie Amerykańskiej Pomocniczej Legji kłaciej przy sztandarach



Cesarzowa Japonji

#### NOWA KSIĘŻNICZKA JAPONSKA

Nad krajem kwitnącej wiśni, stworzonym, zda się, dla słońca i uśmiechów życia, zawisła od pewnego czasu jakaś fatalność. W ostatnich latach katastrofy żywiołowe, jak tajfuny, powodzie, trzęsienia ziemi — raz po raz nękają ludność. Mimo to, a może właśnie dlatego, że ludzie w kraju tym nigdy nie są pewni życia, japończycy żyć umieją i potrafią cieszyć się i radować każdą miłą chwilą.

Każde święto kwiatów, każda uroczystość narodowa, czy jakieś znaczniejsze wydarzenie w życiu Japonji, w uczuciu dumy i radości jednocy cały naród.

Niedawno cały kraj przeżywał wspólnie chwile nadziei i oczekiwania. Młoda cesarzowa japońska spodziewała się potomka. Pierwszem jej dziecięciem, urodzonym przed dwoma laty, była córka, stąd ogólne rozczarowanie, gdyż Japonja — nie ma następcy tronu w prostej linii.

Łatwo jest wyobrazić sobie, z jakim napięciem dwór cesarski oczekiwał rozwiązania swej monarchini. Po tylu katastrofach i niepowodzeniach przyjście na świat małego księcia napęliłoby radością wszystkie japońskie serca i byłoby najszcześniejszą wróżbą na przyszłość.

Niestety, i tym razem cesarzowa dała życie córce. Biedna mała księżniczka, której przyjście na świat przyjęte została z ogólnym niezadowoleniem!

R. C. H.

#### POMNIK PAMIĘCI KOBIETY-CHIRURGA

Dnia 4-go lipca r. b. na placu publicznym w stolicy Anglii został odsłonięty przez rektora uniwersytetu londyńskiego Wiliama Beveridgego pomnik Louisy Aldrich-Blake, pierwszej angielskiej doktorki-chirurga. Brązowe popiersie, zdobiące pomnik, jest wykonane według portretu Louisy Aldrich-Blake, zawieszonego w Szkole Medycznej dla kobiet w Londynie.

Podczas uroczystości mowy zostały wygłoszone przez lorda Riddel, d-ra Elżbietę Bolton, lady Barrett i Mrs Mary Sharlieb.

Ci, którzy pamiętają wysiłki, uczynione dla pozyskania miejsca wśród lekarzy dla kobiet, mogą być dumni z owocności swych zamierzeń.

Lord Riddel w przemówieniu swoim zaznaczył, że zmarła lekarka była nie tylko znakomitym chirurgiem i świetną administratorką, ale że, dzięki własnej pracy, potrafiła zdobyć szczęście dla siebie i dla swoich najbliższych.

Inni mówcy i mówczynie sławili niezwykłą prawosć jej charakteru i stwierdzili, że była ona pod każdym względem wzorem, jako fachowiec i jako człowiek. Fundusz, zebrany na wzniesienie pomnika drogą składek publicznych, okazał się tak znaczny, że po opłaceniu kosztów budowy, pozostała jeszcze dość poważna suma, która przeznaczona została na subsydja i stypendja dla dziewcząt, studujących w Anglii medycynę. R. C. H.





Raid Automobilklubu pań Warszawa — Poznań

## RAID SAMOCHODOWY PAŃ WARSZAWA - POZNAŃ - WARSZAWA

10-go i 11-go września odbył się dwudniowy automobilowy raid kobiecy na dystansie Warszawa - Poznań - Warszawa. Z 15-tu samochodów, które wyruszyły ze stolicy, dojechało do Poznania 13, gdyż po drodze dwa wozy uległy zepsuciu, zresztą bez poważniejszego wypadku.

W ostatecznej kwalifikacji osiem maszyn wykazało jednakową ilość pięciu punktów dodatknych, mianowicie: 1) pani Marchlewska na Fiacie, 2) p. Tournai na Citroënie, 3) p. Jabłońska na Citroënie, 4) p. dr. Sadowska na Steyerze, 5) p. Regulska na Metalurgique, 6) p. Byszewska na Chryslerze, 7) p. Podhorodeńska na Pontiacu.

Wędrowną puchar „Goryczy” otrzymała p. Rychterówna.

W drodze powrotnej z Poznania odbyła się próba szybkości, w której zwyciężyła p. Marjańska na Buicku.

R. C. H.

## SPRAWA PRZYNALEŻNOŚCI PAŃSTWOWEJ MĘŻATEK W LIDZE NARODÓW

Komisja Kodyfikacyjna Prawa Międzynarodowego przy Lidze Narodów na trzecim swem posiedzeniu rozpatrywała kwestję narodowości żonatykh kobiet.

Poważną większością głosów uchwalono rezolucję wypracowania międzynarodowej konwencji, któraby na przyszłość ułatwiała uregulowanie niejasnych sytuacji, będących, w wielu wypadkach, skutkiem utracenia przynależności państwowej.

Tyczy się to szczególnie niejednorodności prawodawstwa różnych krajów, co powoduje, że w niektórych państwach kobiety, wychodząc za mąż za cudzoziemców, tracą swoją narodowość, nie zyskując natomiast przynależności państwowej swoich mężów. Komisja zwróciła się do Rady Głównej Ligi Narodów, prosząc o zwołanie konferencji przedstawicieli rządów wszystkich krajów, w celu uregulowania tej palącej kwestji.

R. C. H.

## PRECZ Z SIWEMI WŁOSAMI!

Wiele starszających się kobiet w Europie farbuje sobie włosy, o wiele częściej jednak nasze starsze panie nie obawiają się siwizny i pozwalają naturalnym, srebrnym puklom ozdabiać swoje głowy.

Inaczej dzieje się w Japonji, gdzie siwe włosy uważane są za haniebną oznakę starczej deklinacji.

W kraju tym starsząca się niewiasta schodzi na drugi plan, przestaje być kobietą i niechętnie widywana jest publicznie. Jeśli jednak udaje się jej zachować hebanową czerń swojej kunsztownej fryzury, to, bez względu na wiek i zmarszczki, może śmiało uczęszczać do teatru, na zabawy kwiatowe, czy też do kinematografu.

Nie należy się więc dziwić temu, że farba do włosów odgrywa tak wielką rolę w toalecie japonki.

## KOBIETA KAPITANEM STATKU

Dziewiętnastoletnia panna Gudrun Tragstadt z Oslo zdała w tych dniach egzamin na kapitana statków nadbrzeżnych. Panna Tragstadt pochodzi z rodziny żeglarskiej i od 14 roku życia towarzyszyła w podróży ojcu swemu, który był dowódcą okrętu. Przed objęciem samodzielnego dowództwa statku panna Tragstadt otrzymała stanowisko pierwszego pomocnika kapitana.

## KOBIETY — MOTOCYKLISTKI

W Anglii odbył się w połowie sierpnia międzynarodowy raid na motocyklach. Pierwszą nagrodę, w postaci pucharu Narodów, otrzymała osada kobieca pań angielskich.

Zwycięzynie otrzymały tylko 5 punktów karnych, podczas, gdy zdobywcy drugiej i trzeciej nagrody, — duńczycy i anglicy — mieli zanotowane — 7 i 39 punktów.

Zawody trwały przez sześć dni, podczas fatalnej pogody, tak, że stały się terenem współzawodnictwa nie maszyn, ale ludzkiej wytrzymałości.

Tem większą jest zasługa dzielnych sportsmenek, że miały do zwalczania deszcz, wicher, błoto, no, i... przeciwników płci silniejszej, a mimo to, zwyciężyły.

R. C. H.

## PODRÓŻNICZKA I ALPINISTKA W GŁĘBI CZARNEGO ŁĄDU

Dwudziestodwuletnia panna Sheilo Macdonald weszła na szczyt Kilimandżaro, jednej z najwyższych gór Czarnego Łądu afrykańskiego, na wysokości 6000 metrów. Miss Macdonald jest córką znanego alpinisty i od 12 roku życia odbywała wycieczki górskie w Szwajcarii i Szkocji. Góra Kilimandżaro jest specjalnie trudna i mało dostępna, tak że od czasu odkrycia jej w 1848 pięciu zaledwie turystów dotarło do jej wierzchołka; — szóstą z rzędu, a pierwszą z kobiet jest miss Macdonald.

Oprócz wejścia na wysoki i przepaścisty szczyt musiała śmiała podróżniczka pokonać jeszcze trudności wyprawy do stóp Kilimandżaro, przez kraj nawpół dziki, z niezdrowym klimatem i prymitywnymi środkami komunikacji, pełen zasadzek i niebezpieczeństw. To też brytyjski klub alpinistów i sportowe koła angielskie z dumą wymieniają nazwisko dzielnej turystki.

N. J.

## Z PRASY

„Comoedia” — tygodnik, poświęcony zagadnieniom teatru, kina, i literatury.

Nr 30-31 przynosi dalszy ciąg rozważań na temat „Gdzie tkwi przyczyna kryzysu teatralnego” — pióra H. Ostrowskiego, „Być albo nie być — Melpomeny” — pióra Cezarego Jellenty, wrażenia z podróży „asa” naszych scen p. Kazimierzy Skalskiej p. t. „Rzym — Pompea — Capri”.

Ciekawy artykuł G. Cieplińskiego p. t. „Zadania i potrzeby teatrów dzielnicowych” oraz bogaty dział informacyjny z życia scen, ekranów i wydawnictw całej Polski. Numer uzupełnia obszerny dział ilustracyjny. Tygodnik „Comoedia” spełnia rolę jedynego bodaj u nas pisma, które na łamach swoich umie pomieścić całokształt życia artystycznego.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Drobnym rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnem żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.

\* \* \*

„Zapał” w Szczuczynie. Nie. Wiersze niedobre. Już ta „Przechadzka” jest niemiła. „Gdy poję wzrok swój tą pięknoscą oto” (bo było „tęsknoto”) „rodzinne łono”, potem ta „mszyc”, co niszczy duszę”, jak Sz. Pani to sobie wyobraża? A już najgorsza ta „dzieweczka, jak kwiat”. Ile setek, ile tysięcy razy pisano w ten sposób! Dziś tyle jest dobrych wierszy, tak wysoko stoi technika poetycka, że naprawdę można znaleźć sobie lepszą, — choćby tylko w sensie formy — szkołę, niż powtarzanie gdzieś, kiedyś zasłyszanych miernot. Ze swojej strony robimy, co tylko możemy, żeby w „Bluszczu” przynajmniej dawać rzetelną, porządną, uczciwą poezję. Wpływy, którym Sz. Pani ulega, są właśnie tym beznadziejnym fałszyfikatem poetyckim. Żebyż się to raz wypłeniło! Wszystko to bynajmniej nie znaczy: „nie pisać”, tylko pisać swojemi słowami, uczciwie, a nie puszczając w obiegu poetyckich liczmanów.



## KOBIETA KTÓRA ZARABIA

Dużo się mówi o kobiecie współczesnej. Rzadko dobrze, — przeważnie powierzchownie i niesprawiedliwie. Mówi się o niej, jakgdyby nie była ogniwem sięgającego w zamierzczłą przeszłość łańcucha swoich praprababek, a jakimś, od wszystkiego oderwanym, do niczego niepodobnym, dziwologiem. Przeciwstawia się tę biedną kobietę chwili obecnej wszystkim kobietom, z wszystkich ubiegłych epok, zamykając ten ogrom pojęć w jednym ogólniku: „dawniej“. A potem stawia się niewymagający dowodzenia aksjomat, spotykany niezawodnym aplauzem na wszystkich kawkach południowych, że: d a w n i e j kobieta polska była matroną, a teraz — chodzi na dancingi. Dowodzą tego czarno na białem i takie śliczne, a zwłaszcza głęboko moralne komedje, jak „Kobieta, wino i dancin“, i odczyty o „Szale dancingów“, i pojawiające się coraz częściej na łamach bardzo poważnych pism rozprawy o upadku moralności wśród kobiet współczesnych.

Nawet wysoce kulturalny, arcysubtelny znawca przeszłości kobiety polskiej — Stanisław Wasylewski, pisząc o terażniejszości, uczynił to w sposób dotychczas nieznan u autora tylu mądrych i wytwornych książek. A przecież jemu właśnie szeroki ogół zawdzięcza fascynującą wiadomość, że księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, ów prawzór matrony polskiej, w bogatym skarbcu wspomnień miłosnych liczyła również i romans z ambasadorem carycy Katarzyny II. Że współczesne jej damy nie podgalały wprowadzić główek à la garçonne, lecz zato przykrywały swoje gęste i gęsto zaludnione włosy piętrowymi perukami, które były rzadko rozczesywane i nigdy nie myte; I nie nosiły krótkich spódniczek, tylko monumentalne paniers na stalowych sprężynach, płatające nieraz swym właścicielkom złośliwe figle, bowiem przy wsiadaniu do powozu podnosiły się, odsłaniając nóżki do znacznie dalszych granic, niżby to najekscentryczniejsza ze współczesnych elegantek odważyła się uczynić. Staniki naszych praprababek nie były tak głęboko wycięte z tyłu, jak nasze suknie balowe, zato kwadratowe dekolty z przodu pozwalały podziwiać w całej okazałości to, czego moda obecna nakazuje mieć jaknajmniej. I nie chodziły owe matrony na dancingi, wówczas nieznan, chętnie natomiast tańczyły na balach, wydawanych przez Sieversa i Igelströma, tańczyły podczas trzykrotnych rozbiórów swojej ojczyzny.

— Nie wszystkiele! — odpowiedzą mi obrońcy przeszłości. No tak, ale któż śmiałyby twierdzić, że w s z y s t k i e współczesne polki spędzają noce w Oazie i Negrresco?! Jeżeli pozwoliłam sobie przytoczyć te, mniej chlubne, stronicie przeszłości kobiety polskiej, to dlatego, żeby podkreślić, że kobiety bywały zawsze rozmaite, i że żadna epoka nie ma prawa na uzurpowanie sobie wyłącznego przywileju nie cnotę, lub bohaterstwo. Chcąc uczciwie scharakteryzować psychikę pewnego pokolenia, nie wolno jest żadnej z jej stron, — czy to dodatnich, czy ujemnych — pomijać milczeniem. Tymczasem, mówiąc o kobiecie współczesnej, najchętniej zapomina się o niestrudzonej siostrze miłosierdzia, o bohaterskiej legionistce, z tak prędko zapomnianej wielkiej wojny, o energicznej i bezinteresownej pracownicy społecznej, nawet o sportsmence, popularyzującej imię Polski na międzynarodowych

igrzyskach. Mówi się zawsze i uporczywie o pani z dancingu, jakgdyby taniec był jakimś wynalazkiem ostatniej doby, jak np., radio, i jakgdyby stanowił jedyne zajęcie kobiety współczesnej. Jest to nietylko niesłuszne i niesprawiedliwe, ale nawet wysoce niepedagogiczne. Nieraz miałam okazję zaobserwować, że dzieci, którym wciąż powtarzano, że są złe i nieudolne, zawsze wyrastały na bardzo nieszczerólnych ludzi. A jeśli i kobieta współczesna podda się sugestji i stanie się taką, jaką ją malują! Rzecz warta zastanowienia, panowie mężczyźni, wy, którzy uważacie kobietę za wieczne dziecko. Ja widzę jedną kardynalną różnicę między kobietą współczesną, a długim szeregiem jej poprzedniczek: oto kobieta doby obecnej sama na siebie zarabia, podczas gdy wszystkie inne, od urodzenia do śmierci, musiały być na utrzymaniu rodziców, męża, dzieci... w ostateczności osiadały u krewnych, na tak zwanym respekcie, polegającym na tem, że dla ciotki, będącej na łaskawym chlebie, nikt nie miał respektu, nawet małoletni siostrzeńcy.

Kobieta ludzi się, że prawo pracy zdołała sobie sama wywalczyć; mężczyzna czyni wspaniałomyślny gest, jakgdyby to on jej równouprawnienie darował.

Tymczasem tak zwaną „kwestję kobiecą“, jak tyle innych palących kwestyj, rozstrzygnęło samo życie. Powojenne warunki ekonomiczne stworzyły przymus pracy dla kobiet. Przeciętny mężczyzna nie jest dziś w stanie zarobić na utrzymanie rodziny, więc jego żona musi pracować; musi pracować i córka, gdy tylko dorośnie, jeżeli nie na chleb, to na przyzwoitszą sukienkę i możliwość rozrywki. Jeżeli dla kobiety przedwojennej studja wyższe, lub praca zarobkowa były dowodem pewnej wolnomysłnej ekscentryczności, — dla kobiety powojennej są one warunkiem bytu, względnie dobrobytu. Teoretyczny podział na pracownice i na matki, lub na kobiety udzielające się nazewnątr i na kapłanki domowego ogniska, w praktyce okazuje się nie do przeprowadzenia. Życie pokazuje nam te same kobiety na ławie uniwersyteckiej, przy kołysce dziecka i przy pracy zarobkowej. To umysł męski, oburzony nagłem niezależnieniem materjalnem i moralnem kobiety, usiłuje stworzyć jakąś płec trzecią; coś, w rodzaju pszczoł robotnic. Żonę i matkę pragnie ograniczyć do wyłącznej roli samicy; kobietę, żyjącą życiem intelektualnem, dzielnie i ambitnie walczącą o byt, — pozbawić wszelkich radości, przynależnych jej płci.

Szczęściem,, życie przechodzi nad wszelką papierową kombinacją do porządku dziennego. Kobieta współczesna nieraz ugina się pod nawałem różnorodnych, nieraz sprzecznych zajęć, ale ostatecznie posuwa się zwycięsko na nowej drodze, zdobywa coraz nowe placówki, nie rezygnując z dawnych. Oczywiście, życie musiało wytworzyć dla kobiet pracujących specjalne prawa, zarówno towarzyskie, jak i kostjumowe. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby młoda biuralistka udawała się do pracy własnym powozem, pod eskortą wiernej duenny, chociażby jej matka, lub babka nigdy inaczej nie wychodziły na ulicę. Kobieta dzisiejsza pędzi sama, zapinając rękawiczki i palto na schodach, ze śniadaniem w kieszeni, teką i parasolem pod pachą; wskakuje do przechodzącego tramwaju w biegu, bo się boi spóźnić. Groźne widmo redukcji i bezrobocia wisi nad głowami wszystkich pracowniczek, niby miecz Damoklesa. Przyjęte jest gorzej płacić kobietom i więcej od nich wymagać,



a w razie redukcji od nich się rozpoczyna. To też typ rozkosznego, powojennego aniołka biurowego jest dziś taką samą rzadkością, jak pieniądze polskie z czasów inflacji. Kobieta dzisiejsza nauczyła się pracować sumiennie i poważnie. Ulegając potrzebie przystosowania się do warunków, temu, jak je trafnie nazwała M. H. Szpyrkówna, „Prawu mimicry“, — ubrała się w tailleur z męską marynarką i w krótką fałdowaną spódnice, w nieprzemakalne palto o dużych kieszeniach, do których można wsunąć śniadanie, lub zabrane w ostatniej chwili papiery. Na słotną porę i długie piesze wycieczki zostały również stworzone sportowe pantofle na grubej podeszwie i niskim obcasie (na sznurowanie wysokich bucików nie ma kobieta współczesna czasu), słowem, cała, tak zwana „mode sportive“. Z powodu tej sportowej mody właśnie zwykli panowie mawiać z grymasem, że kobiety zatraciły swą kobiecość (*contradictio in adjecto*). Ciekawam, co by też powiedzieli ci amatorowie kobiecości, gdyby tak w dżdżysty poranek jesienny wyległy na miasto tłumy śpieszących do zajęcia pań, ubranych w koronkowe krynoliny, w malowniczych pasterkach, przybranych kwiatami, wstążkami i piórami na ufrzowanych główkach, i, wykręcając na mokrym, śliskim bruku wysokie obcasiki jedwabnych pantofelków, jeły ładować się do przepełnionych tramwajów! Można sobie wyobrazić to gniesienie koronkowych falbanek, to wzajemne zbijanie sobie z głowy dużych kapeluszy i, ociekające wodą, rozfryzowane strusie pióra... tak kap... kap... panom za kołnierze... brr! Nanic się również nie zdadzą narzekania niektórych indywidualistów na brak różnorodności we współczesnym kobiecym ubiorze. Kostjum do pracy, podróży, lub sportu musi być prosty, ściśle odpowiadający swemu celowi, i tem samem nie znosi żadnych komplikacji, ani zbytniej indywidualizacji (prawo-mimicry). Przy pracy nie wolno podkreślać swego kobiecego uroku; niema kobiet i mężczyzn — są pracownicy, koledzy. Po skończonych zajęciach, po powrocie do domu — angielskie palto, męski tailleur, jumper, à la garçonnie idą do szafy. Biurowy kolega zamienia się w czarującą istotę, nieco rozkapryszoną wskutek zmęczenia, ale przemila i nieskończenie kobiecą. Oczywiście, o ile pan i władca, sam rozkoszując się zasłużonym odpoczynkiem po pracy, nie zapędza swej równie zmęczonej, a słabszej fizycznie połowy do szorowania rondli i cerowania skarpetek. Ileż to kobiet współczesnych, poza uciążliwą pracą zarobkową, dźwiga bez skargi wszystkie obowiązki gospodarzel! Nie trzymają służącej, same gotują i sprzątaj; korzystając jedynie z pomocy przychodzącej na godziny posługaczki. Są to przeważnie córki matek, które, mając dwie służące i bonę do dzieci, spędzały czas na nudach i bezpłodnej egzaltacji, a teraz, dla odmiany, zarzucają młodemu pokoleniu płytkość, pustotę i brak ideałów. Słowa, słowa, słowa! Kobieta, która zarabia, nie ma czasu na rozmowy o ideałach; zostawia to swoim egzaltowanym poprzedniczkom, które miały aż za wiele ideałów: dla jednych ideałem był socjalizm, dla innych — niepodległość, dla jeszcze innych — tenor operowy, lub, poprostu, kuzynek Staś. Kobieta zarabująca musi mieć przedewszystkiem bardzo wyrobione poczucie rzeczywistości i być kobietą czynu. „Ideałom“ minionej epoki przeciwstawia wysokie poczucie odpowiedzialności i godności osobistej. Taką często jest, a zawsze być powinna kobieta dzisiejsza. Taką będzie niezawodnie kobieta jutra — kobieta, która zarabia.

Well.

## WYSTAWA TKANIN W MUZEUM „GALLIERA“ W PARYŻU

Muzeum to posiada niektóre działy artystyczne zbiorów miasta Paryża, ale służy głównie do urządzania pokazów czasowych sztuki stosowanej, gdzie przedmioty wystawione mogą być zakupowane na miejscu, albo zamawiane według katalogu i cennika. Co miesiąc mieści się tu wystawa ogólna oraz wystawa specjalna.

Pałac sam, zbudowany w stylu Odrodzenia włoskiego przez architekta Ginain, mieścił zbiory Duchesny Galliera, ofiarowane jednak później przez właścicielkę miastu Genua, gdzie się też obecnie znajdują. Front pałacu, przed którym jest pięknie utrzymany skwer, ozdobiono posągami, przedstawiającymi Rzeźbę, Architekturę i Malarstwo. W wielkiej rotundzie wejściowej są rozmieszczone również cenne rzeźby oraz dwa wielkie wazony „de Beauvais“. W sali głównej zawieszono na ścianach tkaniny, wykonane w drugiej połowie XVII wieku.

W tak pięknym środowisku nietrudno jest dobrze przedstawić jakąkolwiek wystawę. Obecny pokaz tkanin nie jest banalny i daje obraz gustu i upodobań nowoczesnych. Wystawcami są: Szkoła sztuki dekoracyjnej miasta Ljonu, Szkoła krajowa Sztuk pięknych w Ljonie, Szkoła Sztuki stosowanej w Strassburgu, a także przedsiębiorstwa prywatne i firmy krawieckie, modniarskie, tapicerskie.

Znajdują się tu tkaniny od najcieńszych, przejrzystych, do mocnych i ścisłych, przeznaczonych do obicia mebli, lub pokrycia ścian. Dekoracje metaliczne, złote, srebrne, stalowe przeważają. Są one albo tkane (nie tylko w grubszych materiałach, ale także w najlżejszym „mousseline de soie“), albo też malowane po wierzchu. Materje takie, chociaż lekkie i przejryste, z powodu owego malowania, albo przetykania metalicznego nabierają pewnego ciężaru gatunkowego, który sprawia, że opadają w miękkich, naturalnych fałdach. Są brokaty różnokolorowe na tle odmiennem, oraz wzory aksamitne na tle jedwabnem. Barwy są najróżnitsze, tak że trudno oznaczyć, jaka przeważa. Oczywiście, że więcej się spotyka wzorów ciemnych na tle jasnem, niż odwrotnie. Tkaniny wzorzyste „brochées“, przeznaczone na obicia mebli, albo ścian, mają desenie duże, często kubistyczne, chociaż Szkoła Ljońska naśladuje przeważnie wzory stare, kwieciste. Bardzo piękną materją, prawdziwą makatą, jest tkanina o tle ciemno-granatowem (bleu-marin) na którym są tkane pawie z rozpstartym wachlarzem, stojące na gałązkach różanych, w ślicznych metalicznych barwach naturalnych. Całość utrzymana w tonie ciemnoszafirowym. Piękne są również przybory kościelne z ciężkich materyj, bogato haftowanych jedwabiami i złotem.

Zwraca uwagę wielka ilość szali, tak modnych obecnie. Wszystkie są ozdobione frendzlą jedwabną długą, zastosowaną barwą częściej do tła, aniżeli do wzorów i deseni. Szale te są przeważnie z materiałów bardzo lekkich i przejrzystych, jak „crêpe georgette“, albo „crêpe de chine“, haftowane, albo malowane, zawsze z przewagą złota, czy srebra, co, zwłaszcza wieczorem, sprawia piękne efekty świetlne. Jeden z nich z crêpe de chine, na tle blade-różowem ma rodzaj



okratkowania jakgdyby z kawałeczków drewnych, z aksamitu rdzawo-czerwonego, na którym to okratkowaniu rozpinają się malowane girlandy z kwiatów w odcieniach od różowego do ciemno ponsowego, oraz liści również w całej gamie koloru zielonego. Frendzla jest różnokolorowa, dostosowana w barwach. Jest też kilka szali czarnych, haftowanych złotem, albo w kwiaty białe na tle czarnem.

Wstążki są też w tym samym rodzaju, przeważnie z materij cięższych jedwabnych, na tle różnokolorowym, albo „dégradé“, czyli o jednej barwie, ale w kilku odcieniach, od jasnych do ciemnych; kwiaty i bukiety całe en „velours frappé“, silnie wypukłe „en relief“. Są też zawsze jeszcze modne szaliki (écharpes) wąskie, a długie, oraz chusty kwadratowe, nawet chusteczki od nosa, ale tylko drukowane (imprimés), a nie haftowane.

Wystawiono również batiki, mające zawsze zastosowanie, bądź malowane ręcznie, bądź drukowane. Piękne są dwa okazy, będące prawdziwymi obrazkami rodzajowemi: na surowym jedwabiu koloru brunatno-rdzawego, stanowiącym tło, jest na jednym przedstawiona sarenka w gąszczu z krzewów i liści, trzymanych w tonach żółto-zielonkawych, jesiennych; na drugim—tych samych rozmiarów, będącym pendant do pierwszego, i na takim samym tle z roślinności jesienniej,—znajdują się dwa bażanty.

W ramach owalnych, drewnianych, za szkłem, są nader oryginalnie wykonane „martwe natury“: jedna z nich, to snop hjacyntów różnokolorowych w wazonie porcelanowym, druga, pendant,—wiązka silnie rozwiniętych goździków w garnuszku. Trzecia, to śniadanie zastawione: dzbanuszek biały z mlekiem, filiżanka z czekoladą brunatną, cukierniczka fajansowa szafirowa, łyżeczka srebrna i t. d. Wszystkie te obrazki wykonane są z maleńkich wiązanek przędzy jedwabnej różnobarwnej, zakończonych supełkami i nalepionych na kartonie, który, odpowiednio malowany wodnemi farbami, stanowi tło.

W jednej szafie wystawiono kapelusze damskie, z nich godne uwagi są: mały, okrągły toczonek, z nasznicami, spadającymi nisko, z materji sztywnej o połysku metalicznym, malowanej, raczej cieniowanej tylko barwami ciemnymi; całość robi wrażenie hełmu ze skóry; oraz dwa turbany formy oryginalnej jakby czepca staroświeckiego. Jeden z nich cały z lamy złotej, wygniatanej w ten sposób, że tworzy rodzaj róż

wypukłych; po obu bokach są spuszczone dwie wstęgi gładkie złote; drugi — uwity naprzemian z lekkiej, przejrzystej materji złotej, przetykanej niemi jedwabiu różnokolorowego, i z crêpe de chine'u koloru turkusowego, fantazyjnie udrapowany w skrętach nieregularnych aż do szczytu, zakończonego śpiczasto.

Są to najnowsze i najoryginalniejsze modele; pytanie tylko, czy je eleganci paryskie zaadoptują.

Paryż we wrześniu

Mary.



## HODOWLA WINOGRON

Hodowla winorośli u nas w Polsce jest bardzo mało rozpowszechniona. Przedewszystkiem nie mamy odpowiednich ogrodników, którzyby umieli takową poprowadzić.

Zwykły ogrodnik wiejski, przeważnie, naogół wzięwszy, słabe ma pojęcie, o tak zwanym ogrodnictwie.

Mało który przechodzi kursa, posiada więc tylko wiadomości z własnej praktyki i robi różne doświadczenia na cudzych ogrodach, ze szkodą właściciela, lub właścicielki.

Otóż na to jest jedna rada właściwa i radykalna: aby nasze panie były same ogrodniczkami, same uczyły się na kursa, czytały książki fachowe i pisma odpowiednie, w których znajdują praktyczne porady i będą mogły umiejętnie pokierować pracownikiem, wiedzieć, co mogą od niego wymagać. Ogrodnik, czując fachowe kierownictwo, będzie staranniejszy, pracowitszy, a wtedy osiągniemy dochody i rozwój danego ogrodu.

Jedną z gałęzi, która może nam dać korzyść i przyjemność, jest założenie i prowadzenie dobrze winnicy, bo winogrona z powodzeniem dojrzewają w naszym klimacie, przy pomyślnych warunkach i staraniu.

W tym celu pragnę podzielić się własnem doświadczeniem z Czytelniczkami „Bluszczu“ i zachęcić właścicielki ogrodów do zakładania winnic.

### WINOROŚL

Winorośl jest to roślina, potrzebująca dużej operacji słonecznej i osłony od wiatrów północnych.

Winnica musi być założona na południowej ścianie, murowanej, wysokości około czterech metrów.

Niektórzy umyślnie na ten cel budują ściany, gdyż nie można spożytkować starych, opodających budynków, bo kruszące się wapno i cegła niszczą gałęzie oraz owoc.

Najlepiej idzie wino na południowej ścianie inwentarskiego budynku, pokrytej rusztowaniem.

Rusztowanie jest to rama drewniana, złożona z wąskich trzycalowych listewek, przybitych w kratę na przestrzeni trzech metrów kwadratowych w odległości 30 cm. jedna listewka od drugiej.

Całość powinna być z drzewa suchego, gdyż takowe nie paczy się i nie krzywi od deszczu i wilgoci.

Ustawia się kratę dług rysunku Nr. 1. i przybija mocno do muru.

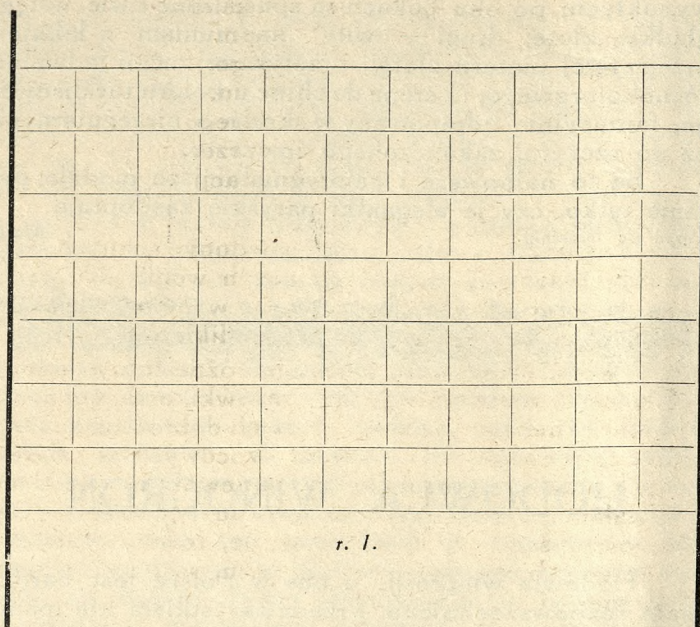
## KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ  
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU  
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DC G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.





r. 1.

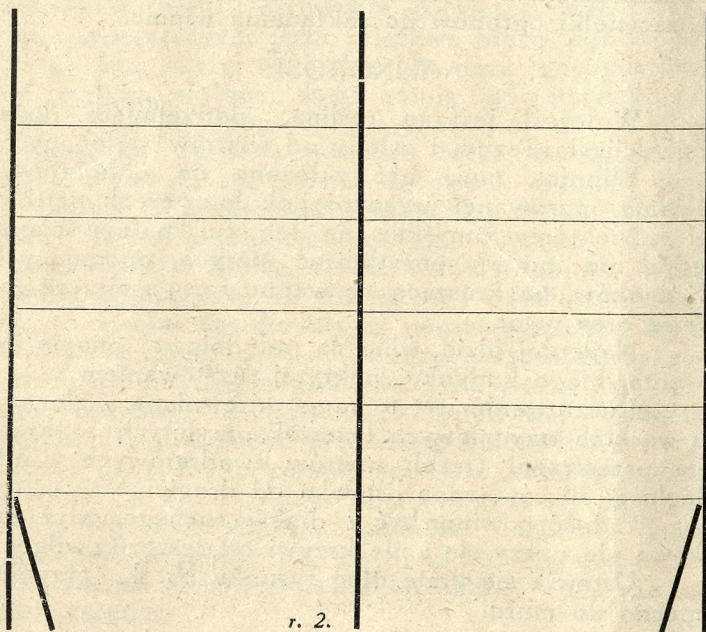
### WINO NA DRUCIE

Winnica może być również prowadzona na szpalerach z drutu, ale, oczywiście pierwszy rząd musi być na ścianie, któraby osłaniała od wiatrów północy. Drugi rząd, na drutach już, zakłada się w odległości dwóch i pół metra od pierwszego; może być jeszcze i trzeci rząd, pod osłoną tejże samej ściany.

Przestrzeń między rzędami winorośli musi być częściowo przeznaczona na uliczkę, aby można swobodnie chodzić po całej winnicy, przy różnych czynnościach, związanych z pielęgnowaniem roślin.

Przy prowadzeniu kilku rzędów winorośli, musi być zastosowana gradacja: krzewy przy ścianie najwyższe, a następne po kilka centymetrów niższe.

Do szpalerów dwuściennych potrzebne są mocne słupy, najlepiej dębowe, które się zakopuje głęboko w ziemię, podpierając od wewnątrz, aby były jak najmocniejsze (odległość 5 metrów jeden od drugiego). Naciąga się drut po słupach, nie bardzo cienki, najlepiej powleczony cynkiem, pięcioma rzędami. Naciąga się bardzo sztywno, zapomocą naciągaczy, by stanowił silną podporę dla roślin, (r. 2).



r. 2.

W ten sposób przygotowuje się do prowadzenia winorośli w tak zwaną „Palmete”; jest to system najlepszy i najkorzystniejszy, co zauważymy sami następnie w hodowli.

(d. c. n.)

Zofja Łempicka.

## TORF JAKO ŚRODEK DO PRZECHOWYWANIA OWOCÓW

Wkrótce trzeba będzie zacząć przygotowywać się do przechowania owoców i jarzyn na zimę, ażeby przy ich pomocy urozmaicać potrawy. Przechowywanie owoców jest trudniejsze, warzyw—łatwiejsze. Zagranicą do przechowywania, szczególnie doprzewozu owoców mają doskonały, u nas mało używany środek, a mianowicie miał torfowy, który u nas się marnuje, jako zupełnie bezwartościowy. Lepszy jest mał z bronzowego ściółkowego miału, niż od opałowego, czarnego. Taki miał im suchszy, tem lepszy; nie powinien zawierać więcej wody, niż 30%, a pożądane, żeby miał mniej, niż 25%, więc poleca się go na jesieni wcześnie ciepłych dni wysuszyć. Najlepiej owoce się przechowują w starych drewnianych pakach, skrzyniach i pudłach. Stawia się je w miejscu suchym, chłodnym, przewiewnym. Na dno sypie się warstwę suchego miału, około 5 centymetrów grubą, na niej układa się owoce tak, żeby wzajemnie się nie dotykały. Pożądane każdy z nich owinać w bibułkę, chociaż ten zabieg nie jest konieczny. Owoce nie powinien się dotykać ścian skrzyni, należy pozostawić między nimi przestrzeń około 5 centymetrów, do zapełnienia jej miałem. Ułożoną warstwę owocu posypujemy miałem torfowym, żeby ją całkowicie pokrył i lekko potrząsamy pudłem, aby wszystkie puste miejsca wypełnił miał torfowy. Układamy w ten sam sposób następną warstwę, zasypujemy ją miałem torfowym i tak samo robimy z następnymi warstwami, dopóki u góry nie pozostanie miejsca conajmniej na 5 centymetrów nad górną warstwą miału. Tej grubości warstwy miału nie dopuszczają do jablek mrozów, dochodzących do 8° C. Do miału torfowego powinno się kłaść owoc, obtarty do suchości, zupełnie zdrowy. Jeżeli położymy na półki owoc uszkodzony i zacznie nam się psuć, to możemy go przed zupełnym zgniciem użyć. W miałie nie widzimy, co się dzieje z owocem, więc całkowicie zgnije, a my o tem nie wiemy. Taka jest wada przechowywania owocu w torfie. Jeżeli jaki owoc zacznie gnić, to w torfie nie zaraża swoich sąsiadów, bo torf cały wyciekający sok zatrzyma. Ścisłe badania, przeprowadzone w Szwecji i w Niemczech, wykazały, że owoc, przechowywany w torfie, znacznie mniej traci na wadze, niż przechowywany w dostępie powietrza. Do miału można kłaść owoc zupełnie dojrzały, lub niedojrzały.

W torfie dłużej dojrzały owoc się przetrzyma bez zgnicia, niż na powietrzu, a niedojrzały powolniej dojrzewa. Późne odmiany zimowego owocu do 2 miesięcy dłużej przechowują się w miałie torfowym, niż na powietrzu, tak że zimowy owoc można mieć w lipcu i sierpniu.

Przechowywanie owoców w miałie torfowym jest bardzo korzystne, więc namawiam Sz. Czytelniczki do zrobienia prób w tym kierunku. Bliższych informacji udzielić może bezpłatnie Sekcja Torfowa, przy Centr. Tow. Roln. — Kopernika 30. Inż. agr. J. Lentz



## TARGI WSCHODNIE

### PRZEMYSŁ TKACKI LUDOWY

Z wszelkich rodzajów przemysłu ludowego przemysł tkacki jest u nas bodaj najbardziej rozwinięty, największą ilość rąk zatrudnia. Znać to i na targach lwowskich. Wprawdzie zabawkarstwo i koszykarstwo są dobrze reprezentowane, jednak najbardziej wpadają w oczy, budzą największe zainteresowanie i bodaj, że najlepsze interesa robią stoiska z wszelkiego rodzaju tkaninami. Przedewszystkiem rzucają się w oczy pasiaki łowickie. Fabrykacja ich stała się już przedsiębiorstwem nieomal fabrycznem, zyskała jednak przez to ujednolajnienie wyrobów i, nie tracąc charakteru wyrobów ludowych, uszlachetniła go, że tak powiem, dając gustowniejszy i bardziej urozmaicony dobór barw, standaryzując te wyroby, co umożliwia sprzedaż większych ich ilości jednocześnie, obstalunki większych partij jednakowego towaru.

Wyrób tkanin łowickich, przestając być przemysłem chałupniczym, daje jednak zajęcie setkom, tysiącom może rąk, przeważnie kobiecych, w sezonie marowym, gdy brak robót polnych.

Małopolska znów przedstawiła ogromne bogactwo kilimów, przeważnie o szlachetnych, niezbyt jaskrawych barwach. Od małych, zdalnych na poduszki, do bardzo dużych, ściennych, lub nawet mogących zastąpić dywany na podłogę. Oprócz dawniej znanych motywów ludowych, np. zakopiańskich, dużo jest deseni modernistycznych i kwiatów stylizowanych. Technika ich wyrobu, dosyć marudna, i drożyzna materiałów powodują, że kilimy są rzeczą kosztowną; zdaje się, jednak, że budzą duże zainteresowanie w przybyłych na targi cudzoziemcach.

Warsztaty dywanów smyrneńskich, przeważnie z okolic Kosowa, wystawiły wprost wspaniałe wyroby, nieustępujące niczem wzorom perskim i tureckim, których są dokładną kopją. Ceny, w stosunku do gatunków, nie są zbyt wygórowane, (wynoszą około 14 dolarów za metr kwadratowy); ruch koło stoisk ogromny.

Zupełnie wyjątkowem powodzeniem cieszy się małe stoisko z wyrobami włóścianek ziemi wileńskiej. Ścierki i ręczniki, obrusy i kapy lniane, także kapy i kilimki na ściany, dróżki na podłogę wełniane na osnowie lnianej, a nawet wprost z gorszego lnu, tak zwanego „paczesia“, farbowane na niedość czyste kolory o trochę naiwnych kombinacjach,—są rozkupowane masowo, jako rzeczy niesłychanie mocne i bardzo tanie.

Parę stoisk z haftami i batikami bardzo ładnymi, gustownymi i tanimi—w porównaniu do cen warszawskich — można też zaliczyć do grupy wyrobów tkackich. Niema wcale koronek klockowych, choć bardzo rozpowszechnionych w Małopolsce; niema też wcale haftów ludowych rusińskich, tak odrębnych, tak barwnych, i które mogłyby liczyć na ogromne powodzenie. Poza pasiakami łowickimi, wystawia prawie wyłącznie Małopolska.

### PRZEMYSŁ SPOŻYWCZY

Przemysł spożywczy nie jest zbyt bogato reprezentowany na Targach; mówię tutaj, oczywiście, nie o młynarstwie, ani o cukrownictwie, ani o browarnictwie, ani o gorzelnictwie, gdyż są to raczej gałęzie rolnictwa, lub z niem ściślej związane,—mówię o przemysle drobniejszym.

Więc są dwa pawilony pszczelarskie. Jeden jest przeznaczony do sprzedaży tylko miodu wołyńskiego, ciemnego, tak zwanego hreczanego; drugi — zawiera oprócz rozmaitych gatunków miodu, od najjaśniejszego górskiego zaczynając, wszelkiego rodzaju narzędzia: ule, części ich, naczynia do przechowywania miodu, miodarki, naczynia do fabrykacji węzy sztucznej, zapasy tejsze węży.

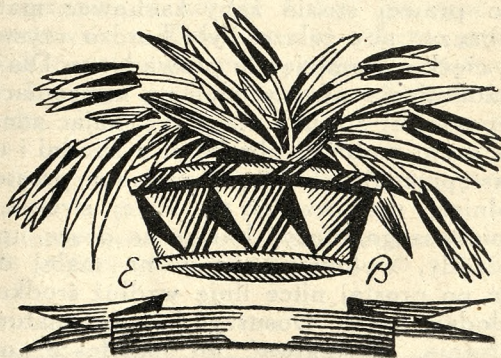
Imponująco wyglądają pawilony znanych wielkich firm lwowskich, wyrabiających wódki i likiery; jeden szczególnie strzela wysoko w niebo wieżą, pokrytą różnokolorowymi butelkami likierów.

Wina owocowe wystawiają różne firmy małopolskie, nam, mieszkańcom Kongresówki, mało znane, lub zupełnie nieznane. Z wyglądu o ich dobroci sądzić trudno, lecz technika wyrobu win owocowych w ostatnich latach tak się posunęła, że napewno są one dobre. W dziale pomocniczym do wyrobu tych win ciekawą nowością są drożdże winne suche, rozmaitych gatunków: wyrabiane dotąd w Gdańsku, są obecnie fabrykowane i w Krakowie.

Ładnie się prezentują szklane słoje z próbkami konserw jarzynowych i owocowych paru małopolskich firm prowincjonalnych, — na sprzedaż konserwy te są wyrabiane w blaszankach, ze względu na większą łatwość przewozu. Cenniki dają ogólnikowe warunki wysyłki; sprzedaży na miejscu niema, a objaśnienia osób, pilnujących stoisk (innych funkcij handlowych widocznie nie spełniają), są tak mętne, że nie mogłam wywnioskować, czy wyroby te będą mogły konkurować ze starszymi firmami w Poznańskim i Kongresówce. Ogromne ilości cukierków i pierników. Poza znanymi firmami lwowskimi, wyroby prowincjonalne noszą specjalny charakter — że tak powiem — tandetny, i są widocznie przeznaczone bądź na eksport na sąsiedni Wschód, bądź przystosowane do mało wybrednego gustu ludności Małopolski wschodniej.

Rozmaite przyrządy do krajania i obierania jarzyn, foremki do smażenia ciastek, kleje wieczne i tym podobne jarmarczne towary zapełniają liczne luki pomiędzy stoiskami towarów ściśle spożywczych. Wystawcami są prawie wyłącznie małopolanie ze sporą domieszką czechów. Charakterystycznym jest to, że o ile lwowianie w swem mieście są ogromnie uprzejmi i udzielają wszelkich informacji ogromnie chętnie, ba, nieraz towarzyszą minut parę pytającemu, aby mu coś pokazać, o tyle na Targach, przygodna widać obsługa pawilonów i stoisk, — mówię tu o branży spożywczej — jest jakaś niechętna, opryskliwa prawie, co dowodzi zupełnego niezrozumienia interesów handlowych.

Pani Elżbieta.





## JAK PRASOWAĆ UBRANKA CHŁOPCÓW

Jednym z większych kłopotów powakacyjnych jest doprowadzenie do porządku ubrań dzieciennych. Zwłaszcza chłopcy są dla matki powodem ciężkiego utrapienia i mozolnej pracy. Trudno sprawiać często nowe ubrania, tembardziej, że nie można zrobić ich z resztek, albo ze starych sukien mamusi, tak jak dla dziewczynek.

Aby uniknąć zbyt dużych wydatków na coraz nowe garnitunki, a pomimo to patrzeć na starannie i elegancko ubranych chłopców, trzeba umieć utrzymać w porządku ich garderobę.

Przedewszystkiem należy co dzień oczyścić wszelkie plamy, których, niestety, nigdy nie brakuje. Najlepiej mieć przygotowaną panamę na miseczce i specjalnie do tego przeznaczoną gąbeczką zmywać każdą plamę, a nawet całe ubranie, miejsce przy miejscu, a dokładnie zmyte, wyciągnięte i powieszzone na wieszadelkach do wyschnięcia, obejdą się bez prasowania. Taką kąpiel ubrankom urządzać można raz na tydzień; poza tem poprzestać na starannem oczyszczaniu zaplamionych, lub wyświeconych miejsc.

Ubrania prane, które trzeba prasować, musimy obrócić na lewą stronę, dobrze wyciągnąć, dosuszyć szwy, paski i kieszenie, złożyć spodełki równo tak, aby szew na szew trafiał, i tak prasować, uważając, aby przynajmniej na milimetr nie dochodzić do brzegów, a tem samem nie zaprasowywać spodełków, co zrobimy dopiero po prawej stronie, przewróciwszy, póki wilgotne i gorące tak, że parują. Odprasować na prawo pasek i kieszenie, dobrze wyciągając, żeby się nie odymały, ułożyć nogawki tak, aby szew na szew padał, położyć jedną na drugą i mocno zaprasować ciężkiem, bardzo gorącym żelazem. Powiesić spodełki paskami na dół na specjalnych wieszadelkach i zostawić na powietrzu do zupełnego wyschnięcia i wystygnięcia. O ile ubranko nie było prane, a tylko odprasowywane, trzeba odrazu prasować po prawej stronie przez gładki, niełatany kawałek płótna, zmoczonego i dobrze wyciśniętego z wody.

Ubranka z surowego jedwabiu w różnych kolorach są lekkie i praktyczne, ale plam na nich nie można wywabiać, gdyż płyny kwaśne, używane do tego, zwykłe są gryzące i niszczą kolor.

Jeżeli ubranko nie bardzo jest brudne—uprać je w otrębach; do brudniejszych trzeba użyć zaledwie letniej wody z rozgotowanym mydłem marsylkiem; po upraniu wypłókać w kilku obfitych zimnych wodach, rozłożyć w cieniu na prześcieradle na godzinę, wyciągając dokładnie ubranie, aby je wyprostować, a zwłaszcza rękawki. Prasować kurtkę bardzo wilgotną po prawej stronie żeby zachować materiałowi połysk, bacząc, aby żelazo było bardzo czyste, odpowiednio ciężkie i umiejętnie prowadzone. Dla uniknięcia przyżółknienia na szwach i na kieszeniach, wycisnąć je po lewej stronie, nie przyciskając zanadto żelazka; to samo zrobić z obrębami u spodni i u rękawków. Następnie ująć kurtkę za ramiona, prosto wyciągnąć kołnierz, prasować go po lewej stronie, przesunąć z pierwszego, ułożyć kurtkę na desce, uprasować plecy, przody, wyłogi — rękawy na małej deseczce, wycisnąć po prostej nitce linię wzdłuż środka rękawka, co dodaje szyku. Dosuszyć kołnierz, naturalnie po lewej stronie, ufasonować go na desce, odwrócić,

w palcach ułożyć, nie przyprasowując, odłożyć wyłogi również bez przyprasowania; ułożyć klapki przy kieszeniach, prasować je, jak i kieszenie, dopóki nie będą zupełnie suche; wtedy odwinąć patkę, całość przeciągnąć lekko, aby się żelazko nie odznaczyło, co bardzo brzydko wygląda. Gdyby, pomimo starań, zdarzył nam się wypadek przyżółcenia, albo wyświecenia ubrania, wytrzeć te miejsca zwilżoną gąbką i prasować na nowo, uważając, aby nie zrobić załamków i nie powyciągać.

Ubranka ciemne drelichowe po upraniu prasuje się jeszcze wilgotne, z pierwszego po lewej stronie. Nie można ich krochmalić zwyczajnie, gdyż pozostałyby białe smugi, trzeba tylko kołnierz i wyłogi natrzeć rozpuszczoną w wodzie żelatyną, biorąc na 20 gr. żelatyny 1 litr wody. Namoczyć na noc żelatynę w pół litrze zimnej wody, nazajutrz dolać jeszcze pół litra wody i zagrzzać, ciągle mieszając, aż otrzymamy płyn, którego kropła wzięta między dwa palce, będzie się lepić. Ponieważ nie wszystkie gatunki żelatyny są jednakowo kleiste, trzeba dopasować podług potrzeby ilość wody. Kiedy ubranko zdatne już będzie do prasowania, natrzeć odwrotną stronę kołnierza i klap tą wodą i prasować dalej, jak poprzednio wskazane. Jeżeli ubranko przez noszenie wyjdzie z apretury i wygląda nieświeżo, a jest jeszcze czyste trzeba zwilżyć kołnierz klapy i całe ubranko po lewej stronie, (za wyjątkiem wewnętrznych kieszeni, które zawsze należy odwrócić i wypróżnić przed praniem i prasowaniem), zupełnie dosuszyć na lewo i odprasować gorącym żelazem.

J. S.

## JESIENNY POKAZ MODELI U B. HERSEGO

Każdego pokazu modeli u B. Hersego wyczekują warszawskie strojnisi z tęsknotą i niepokojem. One bowiem ferują bezapelacyjne wyroki o tem, co ma być noszone, co jest eleganckie i w dobrym guście, a co „nie do włożenia“. Niestety! wiele jest pragnących dostać się na owe wytworne misterja, a mało dopuszczonych. Aby otrzymać zaproszenie od B. Hersego, trzeba być albo jego stałą klientką (jakże mało osób może sobie na to pozwolić!) albo przedstawicielem prasy (taki, to się wszędzie wśliźnie!) Jako należąca do tych ostatnich i pełna zawodowego altruizmu, spróbuję opisać moim czytelnikom piękne rzeczy, jakie widziałam, choć wiem, że opis ten może dać tylko słabe wyobrażenie o rzeczywistości.

W każdym razie postaram się zreasumować ogólne wytyczne mody na sezon bieżący. Zatem wpływ sportów na modę ograniczono do właściwych terenów. Suknie sportowe iienne są proste i praktyczne, wykonane z miękkich tkanin wełnianych (kasha angora), z trykotu, przetykanego metalową nitką, sukna o długim włosie, crepelli, charmelaine etc.

Modne są jumpry cieniowane, trykot, połączony z aksamitem. Spódniczki plisowane, lub fałdowane, zastosowane kolorem do jumprów, lub wykonane z czarnego satin.

Suknie popołudniowe naogół skromne, lecz bardzo wypracowane. Dużo fantazji i wyszukania w kroju. Efekty błyszcząco-matowe. Przybrań mało: kłamy, lub guziki brylantowe w bardzo niewielkiej ilości,



Dużo plis, zakładeczek, mereżek. Ulubione materiały: crêpe de chine, crêpe marocain, georgette. Kolory: czarny, popielaty, cała gama kolorów brązowych, od migdałowego i jasno beige do ciemno-brunatnego (tête de nègre), granatowy i granat, wpadający w czern. Kolory jaskrawe na indeksie, z czego możemy się tylko cieszyć.

Suknie obiadowe i wieczorowe mają głębokie, ostre dekolty na plecach, często zdobi je haft fantazyjny. Doły sukien nierówne. Ulubione materiały: aksamity, koronki, chiffon, georgette, mousseline de soie, jedwabie, koronki zahaftowane perełkami, lamy. Ulubione przybrania: strassy, perełki.

Szczególniej piękne są suknie białe, dyskretnie odrobione czarnym tiulem i zahaftowane strassami. Zwłaszcza pięknie wygląda ażurowa aplikacja z czarnego tiulu. Suknie en tons dégradés będą i w tym karnawale cieszyły się zasłużonym powodzeniem. W ostatniej kolekcji B. Hersego demonstrowano bardzo piękną tualetę z cieniowanego aksamitu. Była ona ciemno-granatowa w dole, granat ten rozjaśniał się przez wszystkie odcienie szafiru i błękitu i kończył się srebrzystą bielą na ramionach. Piękna ta suknia miała jedną wadę, mianowicie: każdy, kto ją raz widział, musi ją niezawodnie zapamiętać; jako taka, nie nadaje się do częstego noszenia. Paniom, zmuszonym do noszenia jednej wieczorowej tualety przez cały sezon, radziłabym zdecydować się na suknię czarną, których rozmaitość u B. Hersego jest ogromna.

Do pięknych, lecz równie niepraktycznych curiosów mody muszę zaliczyć wspaniałą pyjamę ze srebrnego brokatu i czarnego satin.

Płaszcz jesienne stanowią dział, najbardziej nas w chwili obecnej interesujący. Są one proste w formie, czasem o lekko zaakcentowanym ruchu na przodzie, lub boku. Tył płaszcza prosty, z czego należy się cieszyć, bo zeszłoroczne wyrzucane plecy były dla większości pań nieawantażowne. Kołnierze duże, szalowe, naogół od zeszłorocznych mniejsze, często dochodzące do samego dołu; czarne obramowanie z futra. Dużo zakładerek, szczypanek. Materiały brane w różnych kierunkach. Płaszcz wełniane bywają podszyte futrem. Płaszcz futrzane proste, rękawy wszyte, lub półkimonowe. Najmodniejsze futra: karakuły, lustry, popielice, nutrie, krety, pieśczaniki, (śliczna imitacja nurków), króliki brązowe i popielate cieniowane, oraz niezliczona ilość fantazji, jak: strzyżone cielęta, golone jagnięta i koty (golone, strzyżone?) oraz tygrysy, panterze i węzowe druki, na odpowiednio spreparowanych skórkach tych miłych zwierzątek. Lisy srebrne i popielate stanowią najpiękniejsze dopełnienie każdej, zarówno popołudniowej, jak i wieczorowej tualety.

Wiele jeszcze widziałam pięknych rzeczy, gdyż B. Herse jest wielkim kusicielem, bardzo niebezpiecznym dla słabych główek kobiecych i równowagi budżetów domowych, więc nie chcąc nadmiernie rozmarzać miłych czytelniczek, nic już więcej nie opowiem.

Well.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### KARTOFLANKA NA WĘDZONCE

Prosta zupa, która, dobrze przyrządzona, może bardzo smakować. Na pięć talerzy zupy nastawić ćwierć kilo wędzonego boczku w półtora litrze wody, dodać marchew, pietruszkę, kawałtka selera, sporą cebulę i porę. Gdy boczek zmięknie, a włoszczyzna prawie się rozgotuje, włożyć pięć dużych, lub dziesięć małych kartofli, obranych z łupin i pokrajanych drobno.

Gdy się kartofle rozgotują, przetrzeć je wraz z włoszczyzną przez sito, lub durszlak, zaprawić masłem (łyżeczka od herbaty) i stołową łyżką maki, osolić do smaku; zagotować raz, włożyć pół filiżanki gęstej śmietany, wymieszać i, nie gotując więcej, wylać do wazy na pokrajany w plastry boczek i usiekany koperek, lub zieloną pietruszkę.

### BUDYŃ Z WĄTRÓBKAMI

Kilo wątróbki cielęcej, wymoczonej, obranej z błonki i żył, przepuścić przez maszynkę na surowo. Dwie duże cebule utrzeć na tarce, przesłażyć, nie rumieniąc, w łyżce masła. Pół kilo bułki, wymoczonej w wodzie lub mleku, przepuścić przez maszynkę razem z wątróbką, lub bezpośrednio po niej. Cztery żółtka ucierać z przesmażoną cebulą do białości, dodać wątróbkę, bułkę, wciąż ucierając mocno, osolić do smaku, wsypać trochę pieprzu i gałki muszkatołowej, na koniec dodać ubite na sztywną pianę białka.

Przełożyć wszystko do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować na parze półtorej godziny. Na półmisku polać masłem roztopionem, obłożyć kartofelkami z wody, a oddzielnie podać sos rumiany z kaparami, czy korniszonowy, lub też czysty sos pomidorowy.

### SUFLET Z JABŁEK

Upiec winkowate jabłka, przetrzeć przez sito. Wziąć półtorej szklanki tej masy, filiżankę cukru, utłuczonego z wanilią i dwa białka; ucierać mocno drewnianą łyżką tak długo, aż masa urosnie, zbieleje i zgęstnieje tak, aby łyżka w niej prosto utrzymać się mogła.

Półmisek metalowy wysmarować masłem. Trzy białka ubić na bardzo sztywną pianę, zmieszać ostrożnie z masą jabłeczną, ułożyć ładnie na półmisku, ukarbować łyżeczką w karpią łuskę, posypać kryształem i wstawić na 20 minut do dobrze gorącego pieca. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca, aby nie opadło. Do tego podaje się cukier i zimne mleko, lub śmietankę.

Pani Elżbieta.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ ODDZIENIE OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.



## DOBRE RADY

Uważajmy, zawierając stosunki towarzyskie, żeby nie były ani za płuche, ani za surowe. — Wystrzegajmy się zbliżania z ludźmi, których stanowisko społeczne różni się znacznie od naszego. — Dobierajmy sobie znajomości, któreby zadowolili również nasze domowe otoczenie.

\* \* \*

We wszystkim trzeba umieć zachować miarę; tak bardzo cenny takt jest kwestią równowagi. Osoba przesadna lub krańcowa nie będzie nigdy równą w obcowaniu, a tem samem stosunki z nią nie będą ani miłe, ani pożądane.

## KURSY FOTOGRAFJI DLA AMATORÓW

Polskie Towarzystwo Miłośników Fotografii organizuje, wczasy od 10 października do 2 listopada, kurs fotografii dla amatorów początkujących.

Wykłady odbywać się będą w siedzibie Towarzystwa w godzinach wieczorowych, w dnie powszednie 3 razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki, — a ćwiczenia praktyczne w dnie świąteczne przed południem w altanie Towarzystwa, lub na wolnym powietrzu.

Zapisy i informacje: do 3 października na Wystawie Fotograficznej w Dolinie Szwajcarskiej, w stoisku „Fotografa Polskiego”, od 4 października w Sekretarjacie T-wa (Czackiego 3/5, m. 30, tel. 56-34) codziennie od 6-ej do 8-ej wieczorem.

Wobec dużego zainteresowania i licznych zapisów na kurs powyższy, Polskie Towarzystwo Miłośników Fotografii w połowie listopada r. b. urządza drugi taki sam kurs fotografii i już teraz przyjmuje zapisy na oba kursy.

Ze względu na ćwiczenia praktyczne — ilość słuchaczy ograniczona.

Posiadanie aparatu własnego — niekonieczne.

### „Potrawy i konserwy z grzybów”

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYPÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Sprostowanie: W Nr. 38 „Bluszczu”, wskutek omyłki zecer-skiej, odpowiedzi paniom H. N. z Odechowa i p. H. B. z Lublińca, nie są dokładne.

Niniejszem prostujemy je, nadmienając, że do p. dyr. M. Trybalskiego należy zwrócić się pod adresem: Julin, poczta Łódź, albo Centralne Towarzystwo Rolnicze, Warszawa, Kopernika 30. Dział drobnej hodowli.

Dla p. H. B. z Lublińca dodajemy, że adres Seminarjum Gospodarczego w Warszawie jest: Nowowiejska 43; reszta odpowiedzi na zapytanie, skierowane do nas, umieszczona jest w Nr. 38 „Bluszczu”, pod literami Pani H. N. Odechów.

Prosimy o przeczytanie.

Pani H. B. Hryniacze. Najładniejsze kapy będą robione szydełkiem. Figury, układane z torsadki szydełkowej, wykończane igłą, naśladują starą medjołańską koronkę. Połączone z batystem, a nawet z płótnem szarem, efektownie i bogato wyglądają. Rysunek i sposób wykonania takich kap dawaliśmy niedawno w „Bluszczu”. Ładnie również wyglądają kapy batystowe, ozdobione tylko mierz-ką, albo w połączeniu z angielskim haftem. Haft Richelieu mniej używany, ładnie zawsze wygląda w kwadratach, łączonych koronką na siatce, albo mieszany z medaljonami z koronki weneckiej, lub filet. Portjery — mało używane przy dzisiejszym systemie prostoty i ułatwienia we wszystkim, a zatem i w sprzątaniu, — o ile jednak chcemy zrobić — najlepiej zastosować do umeblowania pokoju. Wszelkie aplikacje znajdują tu ładne zastosowanie, jako tło, najwłaściwsze sukno, a w ostateczności — płótno. Najmodniejsze firanki, to krótkie story siatkowe, point-lace, albo batystowe, bogato mierz-kowe, oraz szydełkowe, modnymi, bogatymi deseniami wykonane.

Co do kucharskich przepisów, wyczerpujące i wszechstronne znajdzie Sz. Pani w zeszytach „Życia Praktycznego”, które nabyć można w Administracji naszego pisma. Po otrzymaniu należności 1 zł. 80 gr. za zeszyt (z przesyłką), wyślemy je natychmiast pod wskazanym adresem. Przepisy podane są oszczędne, higieniczne i wypróbowane przez ich autorkę Panią Elżbietę.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

K. S. Łojotok, jest to cierpienie skóry, które polega na nadmiernem rozszerzaniu się gruczołów łojowych w skórze. Zależnie od natężenia sprawy chorobowej, rozróżniamy łojotok łżejszego i silniejszego stopnia.

Odpowiedź Pani Lidce. Jeśli przy hartowaniu występuje zaziębienie, należy je przerwać: widocznie jest ono nieracjonalnie prowadzone. Albo organizm jest zbyt wrażliwy. Przeczytać pro-szę artykuł o hartowaniu się w 3 numerze „Kultury Ciała”.

### „Co trzeba wiedzieć o grzybach”

WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYPÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.